

# BLUSZCZ

*Spółeciano-Literacki Ilustrowany Tygodnik Kobiety*

ROK LXII

WARSZAWA, DNIA 2 MARCA 1929 ROKU

NR. 9

TREŚĆ NUMERU: Ś. p. Leonja Rudzka—*J. Bratkowska*. Nowy zawód dla kobiet — *Jadwiga Suffczyńska*. Poezje: „Pauza“, „Wolność“ — *Kazimiera Illakowiczówna*. Fiolety i fiołki — *S. Borowska*. Skłamanie szczęście (c. d.) — *M. H. Szpyrkówna*. Samochodem na Riwierę (c. d.) — *J. Putiatycz-Surynowa*. Korespondencja z Anglii—*Han. Skar.* Z teatrów—*Z. M.* Z książek — *S. P. O.* Książki nadesłane do Redakcji. Kobieta w świecie i w domu—*H. S., j. k. i N. J.* Urlopy dla pań domu — *Zofja Drabikowa*. O kwalifikowaniu do zawodów—*Piotr Macewicz*. Jak utrzymać bieliznę—*J. S. Kasze*—*Pani Elżbieta*. Nowe ułatwienia w dziedzinie gospodarstwa domowego—*M. R.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje. Dodatek „Nasza Mównica“. Dodatek „Mody i roboty“: Co zrobić z suknią balową po karnawale — *Well*. Dodatek powieściowy: „Głos krwi“ — *R. Hichens*. Arkusz wzorów.

## Ś. P. LEONJA RUDZKA

Zgasła po ciężkiej chorobie nieodżałowana przełożona gimnazjum żeńskiego w Warszawie ś. p. Leonja Rudzka.

Odeszła od nas na zawsze świetlana postać niezwykle szlachetnej i subtelnej, wysoce inteligentnej i niestrudzonej działaczki na niwie oświaty narodowej, wybitnej wychowawczyni od lat 40 całego szeregu kobiet polskich.

Ś. p. Leonja Rudzka, urodzona w 1859 r. w majątku rodziców swych — Józefa i Anny z Domańskich — Wola Ługowa, ziemi Radomskiej, skończyła pensję p. Budzińskiej w Warszawie, a następnie, chcąc się poświęcić pracy pedagogicznej, złożyła egzamin na najwyższy stopień nauczycielski.

Pracę swą rozpoczyna na pensji ś. p. Teresy Jadwigi Papi, która, chcąc rozwijać jak najgłębiej uczucia patriotyczne wśród młodzieży, zaczyna w czasach najgorszych prześladowań Polaków prowadzić ukrytą szkołę.

W 1886 r. p. L. Rudzka o-



Ś. p. Leonja Rudzka

trzymuje od T. J. Papi propozycję współpracy na stanowisku przełożonej i w 1887 r., po otrzymaniu koncesji, otwiera trzyklasową szkołę, następnie zaś uzyskuje prawo otwarcia dalszych 2 klas.

Młoda, energiczna — pełna wiary i zapału pracownica — p. Leonja Rudzka podjęła trud prowadzenia szkoły dla dziewcząt w czasach tak trudnych i ciężkich, jak czasy wielkorządcy moskiewskiego Hurki, któremu dzielnie sekundował osławiony kurator warszawskiego okręgu naukowego A. Apuchtin, a który zapowiadał, że nie spocznie w swej pracy, dopóki matka - polki nie zacznie śpiewać nad kołyskami dzieci piosenek rosyjskich.

Szkoła polska — w obronie młodego pokolenia przed wynarodowieniem — musiała dbać nie tylko o rozwój umysłowy, ale przede wszystkim o budzenie ducha narodowego, o spotęgowanie uczuć patriotycznych wśród dziewcząt, którym — jako przyszłym wychowawczyniom młodych po-



koleń — niezbędny był wielki hart ducha i silna wiara w zwycięstwo idei narodowej, w zwycięstwo dobra i prawdy — nad złem i przemocą, która szła do nas ze wschodu.

P. Rudzka szczepiła w liczne zastępy serc młodocianych, powierzonych Jej opiece — wielką i bezgraniczną miłość dla Ojczyzny — wpływem zaś swoim potęgowała to uczucie, dając przykład niezwykle go hartu i siły woli.

Twierdzą polskości była szkoła p. L. Rudzkiej od chwili powstania, aż do czasu odzyskania Niepodległości przez Najjaśniejszą Rzeczpospolitą.

Pracę swą, jako kierowniczką szkoły, zaczęła p. L. Rudzka od walki z rządem rosyjskim o polskość swej szkoły — prowadzi więc wszelkie wykłady w języku polskim, organizuje lekcje historii i literatury polskiej w godzinach rannych i popołudniowych, zapraszając do współpracy najwybitniejsze siły naukowe, że wspomnę tylko kilka nazwisk, ludzi tej miary, co Bem, Chlebowski, Chrzanowski, Smoleński, Kallenbach, Ign. Matuszewski, J. Kucharzewski, Sosnowski, Jezierski, Kramsztyk, Z. Przesmycki i wielu — wielu innych.

W godzinach rannych dążą ukradkiem do szkoły uczennice klas wyższych, jak również profesoriowie, wprowadzeni przez Przełożoną bocznem wejściem — przez sypialnie pensjonarek. W godzinach zaś lekcyj, gdy odbywają się wykłady w nielegalnych starszych klasach, a w młodszych — zamiast obót i rysunków — nadprogramowe lekcje polskiego, Przełożona bez przerwy czuwa nad bezpieczeństwem szkoły.

Tajemny dzwonek u drzwi wejściowych, naciśnięty przez wiernego sługę w razie wejścia rządowego inspektora, alarmuje całą pensję. Przełożona — zawsze na stanowisku — pełna spokoju i godności, oprowadza po klasach niepożądanego gościa — nie okazując trwogi, gdy inspektor przeprowadza rewizję kasetek, gdy bada podstępnie uczennice, kiedy przychodzą do szkoły, czego się uczą, jakie mają książki i t. p.

Lada drobiazg mógł być powodem zamknięcia pensji, ale inspekcje nie wykrywają tajemnic szkolnych — tylko stwierdzają z oburzeniem, że dzieci we wstępnej klasie nie znają imienia panującego cesarza, ani jego ojca, nie modlą się w języku cerkiewno-słowiańskim.

Zaczęto częściej wizytować szkołę — w czasie lekcyj, przed ich rozpoczęciem, lub popołudniu. Szykanowano Przełożoną, wzywając do naczelnika ochrony Zawarzina, gdzie kazano jej czekać całymi dniami w towarzystwie złodziei, a badano dopiero w nocy.

Po dymisji Apuchtina, pozwolono p. Rudzkiej na otwarcie VI-tej klasy, dotychczas tajnej. Praca w szkole nie ustaje — nauka jest postawiona na wy-

sokim poziomie, to też liczne uczennice, kończąc pensję, wstępują do wyższych zakładów — mimo trudności, jakie w tym kierunku należało w tych czasach przewyciężyć.

Pani L. Rudzka wprowadza w swej szkole wykłady higieny, sama bierze czynny udział w organizowaniu wystawy higienicznej w Warszawie. Sprowadza z zagranicy przyrządy i pomoce naukowe, kładzie nacisk na lekcje przyrody, wprowadza do rozkładu zajęć wycieczki przyrodnicze i krajoznawcze, a sama krótkie chwile wypoczynku w czasie wakacyj i świąt poświęca badaniu szkolnictwa innych państw, zwiedza szkoły Berlina, Paryża, Wiednia, Oxfordu, krajów Skandynawskich, zaznajamia się z największymi ośrodkami kultury europejskiej.

W 1898 r. nowy cios spada na szkołę. Przełożona zostaje aresztowana za to, że nie usłuchała nakazu władz moskiewskich i nie wysłała swych uczennic aby utworzyły szpaler na ulicy przy wjeździe do Warszawy cara Mikołaja II-go. Pani Rudzka nie usłuchała nakazu — uważała go za zbyt upokarzający.

Za karę zażądano, aby wzięła do swej szkoły inspektora — rosjanina, ale z całą stanowczością odmówiła temu żądaniu.

Z trudem obroniono szkołę przed zamknięciem. Wzmogły się jeszcze więcej szykany, coraz częstsze były wizytacje inspektorów, narzucanie nauczycieli-rospan (do nauki języka rosyjskiego, historii i geografji Rosji), co do których istniały przypuszczenia, że są szpiegami.

W czasie rewolucji 1905 r. p. L. Rudzka bierze czynny udział w staraniach o prawa szkoły polskiej, uczestniczy we wszystkich delegacjach do Ministerstwa oświaty.

W 1906 r. otrzymuje pozwolenie otwarcia VII-ej klasy oraz dwuletnich kursów pedagogicznych. W tym samym czasie otwiera w Konstancinie 3 niższe klasy szkoły, aby słabe i wątłe dziewczynki mogły uczyć się na wsi — w warunkach zdrowotnych o wiele lepszych, niż w Warszawie.

W 1908 r. zażądano od p. L. Rudzkiej wprowadzenia wykładów historii i geografji po rosyjsku, oraz powiększenia ilości godzin języka rosyjskiego. Gdy się na to nie zgodziła, zamykają jej najpierw równoległe oddziały, następnie zamykano 3 razy szkołę i raz kursy pedagogiczne, oskarżając Przełożoną o ducha buntowniczego — o działalność antypaństwową.

Inspektor Władimirow, zamykając szkołę p. Rudzkiej powiedział: „Zamykamy szkołę Pani, bo jest najlepsza w Warszawie, aby pokazać innym przełożonym, że tembardziej nie zawahamy się przed zamknięciem szkół pozostałych“.

Pełna energii, niezmordowana p. Rudzka jedzie do Petersburga, do ministra Kasso, i tam wywalcza dla swej szkoły prawo istnienia.



Prowadzi więc ją nadal w tym samym duchu, wychowując coraz to nowe pokolenia kobiet — zdolnych do walki o niepodległość kraju — oraz do pracy twórczej zarówno społecznej, jak i naukowej.

W uczennicach rozwija Przełożona poczucie obowiązku i zamiłowanie do pracy społecznej. Szkoła jej opiekuje się, a właściwie utrzymuje ochronę na Solcu. Uczennice w dzień imienin Przełożonej składają Jej, jako upominek, własnoręcznie uszyte sukienki i bieliznę dla dzieci z ochronki.

Dużo też czasu poświęca p. Rudzka pracy w kolonjach letnich dla dzieci, gdzie współpracuje ze ś. p. Dr. Markiewiczem, byłym profesorem higieny w Jej szkole.

Przez cały czas wojny p. Rudzka nie ustaje w pracy; okupacja niemiecka zastaje ją w pełni sił i energii. Jako delegatka przełożonych szkół żeńskich, wchodzi do Wydziału Oświecenia, zorganizowanego przy Niemcach, i tam nieustępliwą wolą i wytrwałą pracą wywalcza dla szkół żeńskich prawo otwarcia VIII-ej klasy i zrównanie ich w prawach ze szkołami męskimi.

Odzyskanie niepodległości zastaje p. Rudzką na posterunku. Wybrana na Przewodniczącą Koła Przełożonych szkół żeńskich, pracuje intensywnie dla szkolnictwa polskiego.

W myśl hasła, że Ojczyzny nie otrzymuje się, a Ojczyznę zdobywa się pracą — Przełożona w swej szkole w dobie niepodległości kładzie nacisk na wyrobienie w dziewczętach zamiłowania do pracy, prawdy, dobra i piękna. W czasach powojennych, czasach zaniku etyki, chce, żeby kobiety, które wyjdą z Jej szkoły, niosły wysoko sztandar moralności, aby rozumiały, jakie obowiązki czekają je w społeczeństwie, i aby umiały te obowiązki godnie i sumiennie wypełniać.

Zdając sobie sprawę, jak wielką jest rola kobiet w rodzinie i jak od kobiety zależy, aby rodzina była ostoją ładu i praworządności w państwie — wychowuje swe uczennice w tym kierunku — a spr-

wując rząd dusz młodocianych z wielką miłością i zrozumieniem — ma na nie wpływ nieograniczony.

Dążąc do ciągłego ulepszania swej szkoły, bierze p. L. Rudzka udział w Zjeździe Nowej Szkoły w Locarno w 1927 r. i po powrocie do Warszawy postanawia zorganizować w Konstancinie szkołę systemem daltońskim, ale, niestety, zły stan zdrowia nie pozwolił na urzeczywistnienie tego planu.

W uznaniu olbrzymich zasług p. L. Rudzkiej Rząd Rzeczypospolitej Polskiej udekorował ją orderem Polonia Restituta.

Otoczając nieustanną opieką swe uczennice terazniejsze i dawne, dążeniem Przełożonej było, aby były wychowanki stworzyły organizację, zacieśniającą więzy koleżeństwa i niosącą pomoc moralną i materialną potrzebującym tej pomocy koleżankom.

W myśl życzeń i wskazań Przełożonej, odbył się dnia 14 października 1928 r. organizacyjny Zjazd byłych wychowanek gimnazjum i kursów — niestety, w nieobecności — z powodu choroby — Tej, która była duchem przewodnim tego zjazdu.

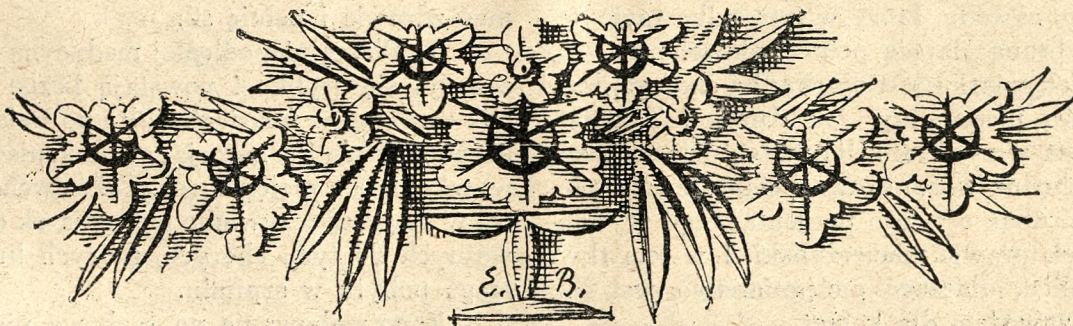
Imponujący zjazd, który zgromadził 40 roczników byłych uczennic i złożył wyrazy gorącego przywiązania i hołdu zasługom p. L. Rudzkiej — był najlepszym dowodem, czem była ukochana Przełożona i Jej szkoła dla całego szeregu kobiet.

Ś. P. Leonja Rudzka była jedną z nielicznych już przedstawicielek tego pokolenia kobiet, które żyły i pracowały w najgorszych dla kraju chwilach, ale którym dane było dożyć plonu ich ofiarnej pracy.

Świetlana postać Przełożonej wyrzyła się głęboko w sercu każdego, kto tylko miał z Nią do czynienia — śmierć Jej osieroca szerokie koła jej obecnych uczennic, byłych wychowanek i współtowarzyszek pracy, gdyż była nie tylko mądrą Przewodniczką, ale i najlepszą opiekunką.

Schodzi do grobu kobieta niezwykłego umysłu i serca, która w harmonijnem skojarzeniu łączyła tkliwą dobroć z hartowną i celu swego świadomą wolą. Cześć Jej Świetlanej Drogiej Pamięci.

*I. Bratkowska.*





JADWIGA SUFFCZYŃSKA

## NOWY ZAWÓD DLA KOBIET

Przed każdym młodzieńcem, kończącym szkołę, zarówno jak i przed każdą uczennicą ostatnich klas gimnazjum staje pytanie: w jakim kierunku kształcić się dalej i jaki zawód obrać? Jest to ważna chwila dla młodzieży płci obojej, gdyż decyduje o całym życiu dalszym, a wybór zawodu, dostosowany do uzdolnienia i upodobań każdej jednostki, jest ważnym czynnikiem szczęścia osobistego. Zamiłowanie zaś swego zawodu odbija się korzystnie na wydajności pracy, a przez to przyczynia się do podniesienia dobrobytu kraju.

Kobiety polskie zyskały po wojnie nowe pole pracy: jest nim pielęgniarstwo w nowoczesnym pojęciu.

Jeszcze do niedawna pielęgniarkami w szpitalach były kobiety bez żadnego wykształcenia — rodzaj służby domowej.

A jednak w ich rękach spoczywało życie ludzkie. Lekarz widzi chorego krótką chwilę, bada stan zdrowia, stawia diagnozę, przepisuje lekarstwa i zabiegi i odchodzi, aby wrócić nazajutrz, w najlepszym razie po kilku godzinach. Chory pozostaje pod opieką pielęgniarki. Do niej należy zdać lekarzowi sprawozdanie o stanie zdrowia chorego w czasie jego nieobecności, wezwać lekarza w porę w razie pogorszenia, wykonać dokładnie i umiejętnie wszystkie przepisane przez lekarza zabiegi, podać odpowiednią dietę i t. p. Napewno nie zrobi tego umiejętnie i dobrze kobieta bez ogólnego wykształcenia i fachowego przygotowania. Dlatego też okazało się koniecznym, aby przy dzisiejszym rozwoju medycyny pielęgniarkami były kobiety inteligentne, mające odpowiednie przygotowanie teoretyczne i praktyczne, gdyż pielęgniarstwo wymaga umiejętności i technicznej zręczności. Jedną z pionerek pielęgniarstwa słusznie je określiła, jako najpiękniejszą ze sztuk pięknych.

Na pytanie, jakiego typu kobiet wymaga pielęgniarstwo, jedna znakomita pielęgniarka amerykańska odpowiada, że najlepsza kobieta nie jest jeszcze zbyt dobrą. Jabym zaś dodała, że poza prawością charakteru, przede wszystkim, niezbędne jest rzetelne zamiłowanie do tego zawodu, który w tym tylko razie będzie pracą wybraną, dającą pełne zadowolenie.

Dobra pielęgniarka jest opiekunką chorego, który często bywa nieporadny, jak dziecko. Tak jak matka dostarcza wszystkiego dla swego dziecka i zabezpiecza niezbędne warunki do życia, tak też i pielęgniarka musi dbać o swego pacjenta. Stąd wytwarza się stosunek prawie macierzyński. I w tym tkwi wielka tajemnica, dlaczego pielęgniarstwo jest tak odpowiednim zawodem dla kobiet.

W każdej kobiecie drzemią instynkty macierzyńskie, że się tak wyrażę, są one „zmagazynowane”. Uczucia te muszą kiedyś znaleźć swój wyraz i ujście. O ile nie zostaną zużyte drogą naturalną na potrzeby własnej rodziny, t. j. męża i dzieci, często bywają wypaczone i przejawiają się w formie nadmiernej czułości dla różnych stworzeń. Jakże złośliwie zostają wtedy ośmieszane!!

Praca pielęgniarstwa nie zacieśnia się jedynie do pielęgnowania chorych w szpitalach lub domach prywatnych.

Medycyna słusznie zwróciła uwagę, że ważniejszą rzeczą jest zapobiec chorobie, niż leczyć ją, gdy już zaatakowała organizm. Rozwija się obecnie nadzwyczaj szybko medycyna prewencyjna, czyli zapobiegawcza. Rola jej polega na tworzeniu Ośrodków Zdrowia, przychodni i poradni. Pacjenci, zgłaszający się tam, nietylko otrzymują poradę, ale także wskazówki, jak postępować, by ustrzec rodzinę przed zarażeniem się; dotyczy to zwłaszcza gruźlicy i jaglicy.

Pielęgniarki, pracujące w tych instytucjach, noszą nazwę pielęgniarek społecznych. Praca ich polega na pomocy przy wizycie u lekarza i na robieniu wywiadów, t. j. na odwiedzaniu chorych w ich domach, w celu uczenia praktycznego stosowania higieny, należytego odżywiania, wietrzenia mieszkania. Pielęgniarki uczą młode matki, jak kąpać dzieci, dają wskazówki, jak się mają zachowywać kobiety w ciąży i t. p.

Pielęgniarki szkolne sprawdzają czystość u działki szkolnej; w razie zauważenia jakiejś niedokładności wzroku lub słuchu prowadzą je do lekarza, badają powody złych postępów w naukach (często zły stan zdrowia jest tego przyczyną), wreszcie sprawdzają powody opuszczania lekcji. Zadaniem ich jest czuwanie nad normalnym rozwojem dziecka i chwytnie zła w zarodku, kiedy jeszcze łatwo zaradzić.

Są inne jeszcze rodzaje pracy pielęgniarki społecznej, np. w fabrykach, żłobkach, w zakładach ubezpieczeniowych i t. p., lecz wszędzie polega na tym samym, t. j. na uczeniu, jak żyć, aby jaknajdłużej utrzymać zdrowie i pełnię sił.

W Polsce niepodległej medycyna zapobiegawcza rozwija się szybko i powstają liczne Ośrodki Zdrowia zarówno w miastach, jak i po wsiach. Budują się liczne szpitale i sanatoria, gdzie konieczna jest praca wyszkolonych pielęgniarek. Także wchodzi coraz więcej w zwyczaj wzywanie pielęgniarek do domów prywatnych do tych chorych, których kuracja nie wymaga pobytu w szpitalu.

Zapotrzebowanie na fachowe pielęgniarki stale



wzrasta i wedle obliczeń potrzeba ich około 15.000, a mamy ich zaledwie 350.

Obecnie istnieje w Polsce 5 szkół pielęgniarstwa:

1) Poznań (Grottera 5) założona w r. 1921.

2) Warszawa (Koszykowa, róg Chałubińskiego) założona w r. 1921.

3) Warszawa (Dworska 17, przy Szp. na Czystem) założona w r. 1923.

4) Kraków (Kopernika 23) założona w r. 1926.

5) Katowice (Andrzeja 9) założona w r. 1927.

Szosta zaś szkoła zostanie wkrótce otwarta przez Polski Czerwony Krzyż i mieścić się będzie w gmachu przy ul. Smolnej 6.

Kurs w tych wszystkich szkołach trwa 2 lata 4 miesiące i obejmuje zarówno naukę teoretyczną, jak i zajęcia praktyczne w szpitalach miejskich, lub klinikach uniwersyteckich.

Warunki przyjęcia do tych szkół są jednakowe co do cenzusu naukowego, t. j. minimum 6 klas szkoły średniej oraz, co do wieku, powyżej 18 lat życia.

Szkoły przyjmują na kurs dwukrotnie w ciągu

roku: jesienią i na wiosnę. Oplata wynosi około 100 zł. wpisowego i 60—200 zł. opłaty miesięcznej, zależnie od zamożności kandydatki, przytem łatwo można uzyskać stypendjum.

Zdolniejsze uczennice bywają wysyłane zagranicę w celu uzupełnienia swej wiedzy teoretycznej studjami na uniwersytecie, a także korzystają z doświadczenia tych krajów, które posiadają od wielu lat różne instytucje sanitarne.

Wszystkie słuchaczki szkół pielęgniarzkich mogą być pewne, że po ukończeniu szkoły otrzymają natchmian posadę. Jest to może jedyny zawód w Polsce, gdzie niema nadprodukcji, niema obawy redukcji i trudności w znalezieniu posady.

A zresztą i dla tych kobiet, które nie potrzebują pracować na swe utrzymanie, umiejętność pielęgnowania chorych, prowadzenia domu według zasad higieny — może być bardzo pożyteczną, zwłaszcza dla kobiet, mieszkających na wsi.

A każda matka, wychowując zdrowe i silne pokolenie, przyczynia się do wzrostu i potęgi Polski.



KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

## PAUZA

*Pokój jest dzisiaj:  
Odpoczynek skrzydłami porusza,  
zgnieciona pod jarzmem dusza  
jak gołąb w powietrzu wisi.  
Niema miłości, niema zgryzoty...  
Promienne latają groty  
pomiędzy sercem a najwyższym wierzchołkiem tęsknoty.*

## WOLNOŚĆ

*Dawałam szczerę złoto za leciutkie, latające plewy.  
Rzuciłam serce na łup: teraz je ratuję z zalewu.  
O pójdz, wolności moja, ze mną na czyste wzgórze,  
tam się głowa w słońce, tam się stopa w letnim kwieciu zanurzy!*

*Stamtąd będziemy wyglądać, wypatrywać  
czy nie jedzie mocarz, czy od słońca ócz nie nakrywa.  
czy od złotej korony  
nie pochyla głowy — zmęczony?  
Czy nie rzucił domu i rozgległych za sobą włości,  
by szukać ciebie. Miłości... Miłości!.. Miłości!!*



S. BOROWSKA

## FIOLETY I FIOŁKI

Dnie, a nawet godziny Jego Eksceleńcji były już policzone. Dogorywał wśród splendoru biskupiego pałacu, pod złocistą kołdrą, haftowaną w chińskie smoki. Długie, chude ciało i owalne, dla karykaturzysty nieco końskie, oblicze, właściwe ludziom, urodzonym w znaku strzelca, wyrażało głębokie znużenie. Tylko oczy chorego podnosiły się chwilami na przeciwległą ścianę, gdzie widniał krucyfiks, ogromny, czarny z umęczonym ciałem Chrystusa, tak nagiem, jak naga dziś, w obliczu śmierci, była i dusza Jego Eksceleńcji, uwięziona jeszcze wśród prętów i płyt zużytego szkieletu.

Biskup spoglądał chętnie na ten wizerunek, który był mu nie tylko podobizną ukochanego Mistrza, ale także symbolem najwierniejszym ducha ludzkiego, czystego płomyka nieskończoności uwięzionego na Krzyżu ziemskiego ciała.

Przy łożu księcia Kościoła nie było ani jednej butelki z lekarstwem, pielęgniarka zaś, ładna, hoża dziewczyna, ukrywała się za parawanem, w przeciwległym kącie pokoju, u wejścia, bo biskup nie znośił widoku jej sytej, zadowolonej twarzy, a kobietę wogóle nie lubił.

Na szafeczce, u wezglowia, leżało tylko kilka książek, których chory już od dawna czytać nie mógł, mały krucyfiks i duży brązowy wizerunek dzika.

Dzików namnożyło się wiele w pałacu biskupim za rządów Jego Eksceleńcji, w postaci większych lub mniejszych posażków, przycisków i figurynek. Były one jakby śladem widowym, zostawionym przez Eksceleńcję w jego uciążliwej drodze ku doskonałości, i były symbolem. Miały swoją historję.

Dużo wody upłynęło już od chwili, gdy jako młody, hulaszczy panicz, w momencie tragicznego życiowego powikłania, przejrzał biskup piękno nauki Chrystusa i w olśnieniu uwielbił Jego gest boski, piękniejszy, niż wszystko piękno stworzone i zamknięte przez ludzi w barwę, kształt lub melodję. Jego Eksceleńcja pojął, że w nauce Chrystusa niema płacizny. Wszystkie ścieżki są strome i wiodą na szczyty doskonałości.

Wstąpienie jego do seminarjum duchownego było w swoim czasie faktem nieoczekiwanym, komeniowanym i oplotkowanym. Mało bowiem jest ludzi, którzyby mogli pojąć misterjum tajemnych natchnień, powołań i przebudzeń.

Wszedłszy na stromą ścieżkę życia duchowego, wedle myśli Chrystusa, szedł nią biskup mężnie i żarliwie, jak przykazano, nie oglądając się wstecz. Przyszło z czasem uznanie i wyniesienie, ale bez udziału jego woli.

Dusza biskupa była, jak płomień, i drgała wiecznym protestem przeciw gnuśności społeczeństwa i jego opiece powierzonych owieczek. Nie było w nim słodczy Świętego Franciszka, ale żar Savonaroli. Ciskał się, jak piorun, w zimne padło ludzkiego egoizmu i fałszu. Nie obrosło nigdy tłuszczem ciało Jego Eksceleńcji, tym znacnym tłuszczem, co człowiekowi daje równowagę, pogodę i słodczy w kompromisach. Chudy był, wielki, a w ruchach i słowie szorstki i porywczy. Bardziej rycerski, niż namaszczony. Gdy zawrzał oburzeniem na ludzką niecność, drżały nieraz uszy Przewielebności obecnych od słów, które biskup rzucał, jak twarde, sprawiedliwe razy.

Życie Jego Eksceleńcji było czyste, jak kryształ, i największy z wrogów nie doszukałby się na niem płamy. Miewał biskup w bliższym i dalszym otoczeniu niechętnych i rozżalonych, ale nie miał nieprzyjaciół. Najbardziej opornych jarzmiła siła ducha, jaką promieniowała istota Jego Eksceleńcji.

Biskup był surowy i nieugięty, ale zdarzało się przecież, że postępek jego był nieprzewidywany. Działo się to wówczas, gdy fakt jakiś lub czyjaś osoba zdołały go rozśmieszyć, gdy komizm jakiejś sytuacji narzucał się silniej, niż tragizm lub ohyda.

I tak oto raz przedłożono Mu w konsystorskiej kancelarji podanie o unieważnienie ślubu pewnej młodej, niefortunnie wydanej zamaż, kobiety. Jego Eksceleńcja przeczytał pismo i, jako jedyną odpowiedź, zgryzł w zębach słowo krótkie a zgrzytliwe, uwłaczające już nadmiernie nawet wiarołomnej kobiecie. Podanie włożono „pod sukno“.

Innym razem znów powtarzano Jego Eksceleńcji ostatnie, przedśmiertne słowa proboszcza z Kaczej Wólki, dysponowanego na śmierć przez innego kapłana. Pogodzony z Bogiem i gotów już do ostatniej podróży, spojrział konający zamglonym wzrokiem na splakaną gospodynię, klęczącą przy łożku i zamamrotał:

— Nacieszyłaś się ja tobą, moja Marysiu, nacieszyłem... niech będzie na chwałę...

Biskup oniemiały słuchał tej pobożnej relacji. Czoło zbiegło się w groźne fałdy; lecz naraz, gdy miał już wybuchnąć, parsknął silniejszym nad oburzenie śmiechem i poprzestał na tem zakończeniu.

W śmiechu tym poniewolnym drgały słabiutkie reminiscencje dawnych czasów, gdy Jego Eksceleńcja był jeszcze młodym, świeckim paniczem, lubiącym do szaleństwa konie, muzykę i francuski dowcip.

Kiedyindziej znów na raucie u pana wojewody, słynna rzeczniczka sprawy kobiecej i znana literatka, pani Miecz-Szablicka, wdowa po 2-ch mężach, trze-



ciemu szczęśliwie poślubiona, przypięła się do Jego Eksceleńcji z wywodami w wiecznie palącej kwestji rozwodów. Jego Eksceleńcja słuchał jednym uchem, prawie grzecznie, nie lubił bowiem ani damskiego szczebiotu ani babskich „fochów“. Dla kobiet miał jedno przykazanie: posłuszeństwo, posłuszeństwo i posłuszeństwo. Oczywiście, jakiejś męskiej, rozsądnej władzy. Pani Miecz-Szablicka, zdenerwowana nonszalancją księcia kościoła, zacytowała z goryczą aforyzm Garborga z powieści „Znużone Dusze“:

— „O dobrze się to daje we znaki kobietom, że Bóg jest mężczyzną!...“.

Wtedy Jego Eksceleńcja się roześmiał. Śmiał się serdecznie, ale nic nie odrzekł. Długo potem wspomniano, że na raucie u pana Wojewody Jego Eksceleńcja w rozmowie z panią Miecz-Szablicką śmiał się głośno. Takie to było niezwykle zdarzenie...

Biskup znał wszystkie drogi, jakimi wiekuiste tęsknoty ludzkości doskakiwały do prawdy. Badał tajemnice starożytnych kultów i wyluskiwał nieśmiertelne, Chrystusowe prawdy z alegorii egzotycznych legend i podań.

W szczególności umiłował hinduską legendę o dziku:

„Ongiś to Brama zesłał na ziemię Wisznu w karno-wyzwoleńczej ekspedycji, poleciwszy mu w tym celu przybrać na się postać dzika. Wisznu zjawił się wśród ludzi, przyodziały w ciało zwierzęce, i misję wypełnił. Brama wzywał go do powrotu, lecz Wisznu, zaplątany zbyt silnie w sieci ułudy ziemskiego bytu, nie usłuchał nakazu Bramy, nie zrozumiał go nawet. — Ja jestem dzik, odpowiedział bóstwu; ja chcę jeść zołędzie i rozmnażać się.. Dlaczego mi przeszkadzacie?..“

Dużo trudu zadał sobie Brama w celu obudzenia Wisznu ze snu ziemskiej ułudy. Wszystko było daremne. Wówczas, przywieziony do ostateczności, zawezwał straszliwego Sive. Siva zstąpił na ziemię, odnalazł Wisznu-dzika w głębi leśnych gąszczów i włócznią rozplatawszy bok zwierzęcia, uwolnił Bóstwo, nieśmiertelną Iskrę z więzów ziemskiej Maji...“.

Mył ten Jego Eksceleńcja lubił powtarzać i cytować, jako barwną alegorię wielkiej prawdy, że nie na ziemi jest nasza ojczyzna i cel naszego życia, ale w niebie i że ten, kogo Bóg umiłował, nie spocznie w gnuśnem zadowoleniu pomiędzy sprawami ciała, lecz, nawiedzany ciężkimi krzyżami, zrozumie prawdy najwyższe i posiadzie miłość wiekuistą.

Biskup nie lubił kobiet. Wprawdzie od chwili, gdy kobieta stała się godną być Matką Boga, na cały rodzaj żeński padł odbłask jej zasług i jej wywyż-

szczenia, ale jakże zwykła kobieta stała daleko od tego preczystego kwiatu lilji!

Jego Eksceleńcja, dumny zwycięzca własnych zmysłów, nie znosił cielesności kobiety. Tego wdzięku i skwapliwości, jaką przynosi do wszystkich spraw ciała; tej zarozumiałości, z jaką sądzi, iż w fizycznym zbliżeniu poznaje całą głąb męskiej duszy; tej wystarczalności, jaka sprawia, że niczemu się nie dziwi i rozumie wszystko najlepiej.

Czyż nie była w gruncie rzeczy czemś, czem należało pogardzić, wstępując na drogę życia duchowego, jak się pogardza bogactwem, sławą, władzą?... Czyż nie była uosobieniem tego, co jest ciałem, materją, złem?...

Nie hindusi-ż to cytują słowa mędrca do ucznia, zapytującego, co czynić przy spotkaniu z kobietą:

— Nie patrz na nią, Anando...

— A jeśli już spojrzalem?

— Nie mów do niej, Anando...

— A jeśli już przemówilem?

— O, wtedy najwyższa ostrożność jest wskazana...

Nie słoważ to Ewangelji:

— „Co mnie i Tobie, niewiasto“?

Tam, gdzie chodzi o sprawy ducha, co mnie i Tobie, niewiasto?

Ach, czyż nie słusznem dla nich, dla nich właśnie, przykazaniem jest: posłuszeństwo, posłuszeństwo i posłuszeństwo?...

Słońce stało właśnie w znaku Koziorożca, gdy choroba zmogła Biskupa. Patrzało potem na ziemię ze znaku Wodnika i Ryb. Jego Eksceleńcja dogorywał, nie mogąc umrzeć w mahoniowych ramach łoża, pod opieką dwu zmieniających się kolejno pielęgniarek, odwiedzany przez bezsilnych lekarzy i zmartwionych księży. W pokorze zapytywał ukrzyżowanego Mistrza z krucyfiksu:

— Dlaczego nie wzywasz sługi swego, Panie, za-  
lim nie gotów jeszcze?...

Ale Chrystus milczał, a wśród zlocistych ścian sypialni snuła się wciąż ta sama nuda z udręką napoły.

Choroba zmogła Biskupa jakby po raz drugi — na duszy. Wola jego, ćwiczona według przepisów najwytrawniejszych Mistrzów życia duchowego, rozpadła się, jak rozsrubowany sprzęt. Przedmiotem długich i bolesnych rozmyślań stawała się źle ułożona poduszka, fałda na prześcieradle, uwierająca dotkliwie; przedmiotem upragnienia — szklanka z napojem, stojąca na nocnej szafce, do której tak ciężko było wyciągnąć zwiotczałe ramię.





M. H. SZPYRKÓWNA

6)

## SKŁAMANE SZCZĘŚCIE

Tak. Sprzedałam za Judaszowe srebrniki naszą pierwszą miłość — i życie mi tego nie darowało.

I szczególnie niekonsekwencja kobieca — czułam się jednak pokrzywdzona. Dlaczego mnie odstąpił tak łatwo? Cemu pozwolił, ażeby blichtr miasta i nowości opanował mnie tak zupełnie, czemu mi nie mówił o swojej miłości? Cemu nie usiłował zatrzymać? Miałam o to do niego żal, żal, żal.

Wiedziałem dobrze, że przepaść wychowania i warunków uczyniła już nasze małżeństwo niemożliwym. Ale wszystko jedno, powinien był rozpaczać, usiłować ze mną się widzieć, męczyć się! Zamiast tego — bez słowa — koperta z moją fotografią i gałązką — tamtą, żarączynową, zasuszoną! Gałązka bzu z jego Złotego Ołtarzyka, a w rok potem — bez pożegnania i uprzedzenia — wyjazd do Ameryki. Do Ameryki! A więc tam, gdzie marzył, gdzieś marzyli kiedyś trafić oboje! Ja — naturalnie na sławną gwiazdę filmową do Hollywood, on — na wielkiego milionera.

Ocean, wielki i słony, jak lzy, ocean legł poniędzy mną, a moją dziecinną sielanką, od której tak daleko odrzuciło mnie koło świetnej napozór fortuny.

Czyż Lorcja nie wprowadziła mnie z antycznych mroków salonu ciotki w prawdziwy bawiący się, świetny świat? Czyż całe życie u nich na wsi w Niewodowie nie było jedną nieprawdopodobną feerją? Czyż nie pojechałam zagranicę slipingami, o których tylko marzyłam nad studzienką w naszym podwórku, czytając dodatki do tygodników z fascynującymi przygodami, podczas gdy indyczątko babuni, powierzone mi do pilnowania, piukały płaczliwie na murawie opodal? I czyż nie zostałam — rzecz niemal niewiarogodna! — żoną najbardziej interesującego z pośród bywalców Lory, w którym sama moja piękna kuzynka gustowała zbyt jawnie, aby jego oświadczyń nie miały zagrać na mojej świeżo wyklutej, a już zachłannie szukającej ofiar, ambicji? Czyż nie miałam być panią baronową, właścicielką jakichś niewiadomych, ale napewno wspaniałych posiadłości na Węgrzech, a zamczyska rodowego w Czechach, dokąd mnie zawiózł wspaniałą cieśniną Dunajca, pod ukwieconemi arkadami zieleni, jak w zaczarowanej gondoli. mój piękny, tajemniczy i fascynujący, jak radza z powieści, mąż? Czyż tak nie było? Czyż tak nie było?...

I jakże się stało, że z tego wszystkiego, jak z wysokiego masztu, spadłam nagle głową nadół w otchłań?

Co zaszło? Gdzie była wina, czyj był błąd?...

Skąd, po kilku nieprawdopodobnych, jak filmu latach mojej świetnej „karjery“? — co za przedziwna ironja kieruje czasem losami ludzkiemi!... — znalazłam się oto znowu, tylko okryta niesławą, zamiast

chwały, na tym samym gruncie, z którego kiedyś porwało mnie koło fortuny czy kaprys losu? I gdyby nie moje maleństwo, bawiące się z królikami pod studnią, jak niegdyś bawiłam się sama: skłonnabym była czasem myśleć, że wszystko to — sen, zmora, nieprawdziwa fantazja, z której się zaraz obudzę i wrócę dawna, w skrzydlatych fartuszkach i zalotnych warkoczach, roześmiana, pusta Haneczka.

Ach, jakże mało treści tailo się pod złotemi lokami mojej ówczesnej fryzury à la Gretchen! Trochę marzeń o sławie w karjerze w Hollywood, trochę troski, że takiego perkaliku, o jakim marzyłam na letnią sukienkę, u nas w miasteczku nie można dostać, a niewiadomo, czy dziaduś pozwoli pojechać z panią aptekarzową aż do Białegostoku? I że pan pocztmistrz powiedział, że tańczę ślicznie, a tu nawet niema gdzie, ani z kim tańczyć, jak należy, bo starszuskowie tak rzadko i mało gdzie bywają! A że choć panna aptekarzówna jest taka piękna i modna, bo aż z Warszawy, Janek i tak na jej imieninach asystował więcej mnie.

I oto — wszystko. I oto z tym kapitałem poszłam wywojowywać sobie szczęście. Czyż dziwne, że przyjełam za złoto zwyczajny szych i zostałam nędzarką, zhańbioną nadto hańbą człowieka, którego nazwisko nosiłam?

Zapewne! Nie było to dziwne. Ale jednak — bolało. Bolało tak, że gdyby nie cisza i spokój naszego domku pod puszcą, nie przeżyłabym tego bólu wogóle. Tam — przeżyć w dosłownym tego słowa sensie, mogłam. Ale życie to mnie zżerało i przetrawiało, jak płomień, i myślałam nieraz z rozpaczą, patrząc na Haneczkę, że życie się powtarza: bawiła się oto beztroska i szczęśliwa w zieleniutkiem naszym podwórku, jak niegdyś — ja. A ja, jak niegdyś moja matka, siedziałam na ganeczku w jedynym fotelu z wyplatanki, dawniej — wyłącznie dziadziunia, i — umierałam powolną męką, jak ona. Hanuśka dobiegała trzech lat. Był to wiek, w którym odumarła mnie moja matka — na suchoty, podobno tylko zjadana tęsknotą za światem, z którego ją tak brutalnie wyrzuciło życie. Czyż i ze mną, o Boże! miało się powtórzyć to samo?

Nie! Na to miałam za dużo szampańskiej, słonecznej energii, którą ciosy życia stłumiły, ale nie zdołały zabić. Nie! Na to się zgodzić nie mogłam! Chciałam walczyć i, jak ryba o piasek, biłam się o mur, jakim przedemną mąż mój zagroził dalsze życie. Cóż mogłam? Cóż miałam? Co?

I poraz setny przetrawiałam krwawą epopeję swoich małżeńskich lat.

\*



Od chwili mego małżeństwa, w której wiedziałam już, że mam zostać matką, życie moje stało się inne i znośniejsze... Mąż jakgdyby się tym faktem zainteresował. Źle mówię: jakgdyby! Zainteresował się nim napewno, jakkolwiek zupełnie z innych, niż ja, powodów. Dziecko dla mnie! Mój Boże, był to cały świat! Wiedziałam już dość, jak na swoją nawet młodość, aby zrozumieć, że dla męża prawie nie istnieję. Był najkrótszy czas w naszym poślubnym pożyciu, kiedy — może!... — mogłabym go do siebie przywiązać. Ale droga, jakaby to przywiązanie musiało iść, wydała mi się tak dziwna i... nieprzyzwoita. Nie miałam pojęcia o takich kobietach, jakie mu się podobały, nie wydawały mi się możliwe sposoby, jakie mi się posługiwały dla podniesienia swej urody lub zwrócenia uwagi. Tymczasem baron, bardzo surowy pod tym względem za czasów narzeczeńskich, teraz na moje interpelacje, nieraz nasiane łzami, zżymał się i niecierpliwil.

— Moja droga, ależ ostatecznie nie możesz być zawsze taką panią z okienka! Najwyższy czas nieco się uwspółcześnić. Kobieta, która nie umie sobie dodać trochę pikanterji, jest jak ostryga bez cytryny. Trudno ją przelknąć.

Albo:

— Wiesz, w Białowieży takie sielskie anielskie naiwnostki może były bardzo na miejscu, ażeby oczarować pana pocztmistrza, czy też aptekarskiego pomocnika, ale w moim świecie! Chciałem powiedzieć, w naszym świecie! Naprawdę, nie mam pojęcia, jak ciebie ludziom pokazać?

I, rzecz szczególna! Ja, która bez przesady byłam jednak uważana raczej powszechnie za ładną, która słowami samej Lorci, wymagającej Lorci, robiłam furorę, którą w Niewodowie sam baron nazywał tkliwie swoim „uroczem złotowłosiątkiem“ i która, co najważniejsze, sama się czułam zawsze skrzydlata radosnem uczuciem, że jestem ładna i kochana: tu — zaczęłam je tracić. Kureczyłam się, szarżałam, malałam niezgrabniałam. Zdawało mi się, że niewidzialne ciężarki przeszkadzają swobodzie i zwinności moich ruchów, chodu, zwrotów. Widziałam wszędzie piękne, jak noc, zmrużone oczy mego męża, zwrócone na mnie z pod przymrużonych rzęs niedopowiedzianem spojrzaniem, które mnie pętało, jak zarzucona pętla arkanu. Było w niem coś z obrzydzonego politowania i ironicznej nudy, która mię bolała wprost fizycznie. Zaczynałam na to być chora. Zaczynałam się mego męża panicznie nieomal bać. Raz, kiedy wszedł niespodzianie, upuściłam łyżeczkę, trzymaną w ręce, i patrzyłam na niego z takim przerażeniem, że zatrzymał się w pół drogi, ściągając brwi.

— Cóż to znowu za wzrok? Czy jestem ucer-

niony? Czy zobaczyłaś za mną widmo? Naprawdę, niewasz coraz mniej pociągające sposoby...

Nie mogłam nigdy zrozumieć, jakiego rodzaju interesy prowadzi mój mąż. Typy, które z okna widziałam wchodzące i wychodzące z jego kancelarji, napełniały mnie zdumieniem. Określał je zresztą doskonale Franciszek, naturalnie, o ile byliśmy sami.

— Takie interesanty, to nie żadne interesanty, tylko, z przeproszeniem jaśnie panienki, zwyczajne parchy i tałałajstwo! Chciałem mówić, jaśnie pani baronowej. Nasz świętej pamięci nieboszczyk pan, a jaśnie panienki rodzony dziadek, to takich, bywało też przyjmował, ale wiadomo, jak: na ganku i z harapem! Niejeden tak nogami się nakrył, przepraszając łaski panienki, że go dopiero na wózek trzeba było wsadzać, żeby sobie wracał, skąd przyjechał. A to czy jaśnie dziedzic nie sprzeda kawałka ziemi jednemu żydkowi z miasta? A to czy pan dziedzic nie kupiłby skradzionego konia? A to to? A to owo? No, nie bez tego, żeby czasem żydek nie był we dworze potrzebny: weksel, czy tam co — Jankiel zawsze najpotrafniejszy. Ale żeby tak, jak, wstyd powiedzieć, pan baron za stołem razem z parchatym kupcem siedzi i wino pije, a potem jakieś papiery piszą i żyd nawet, taki syn, czapki nie zdejmuje, za pan brat z nim rozmawia: to, proszę łaski panienki, u nasby tego nie poświecił. Nie polski to zwyczaj i nie pański, nie! U nas jaśnie pan nieboszczyk, jak się na ganku pokazał, to chłop w miasteczku już czapkę w garści niósł na stajanie, nie to, żeby co! Ale nasz pan, to był pan! Wiadomo! Polski pan, katolicki, z dziada pradiada na ziemi! Dwór był, nie pałac, ale niejeden zagraniczny pałac w naszym dworze za czworakiby poszedł służyć, a jeszczeby nie każdy fornał chciał w nim żyć! A tak!

I rozżalony staruszek, drepcąc i gderząc, szedł zmiatać nieustannie kruszący się z sufitów tynk, rękami, które drżały z obrazy i oburzenia.

Kochany, wierny Franciszek! Wiele zawdzięczam mu siły i wytrwania w tych nieludzkich zupełnie warunkach, w jakich żyłam wtedy.

Żyłam jednym postanowieniem: wytrwać, aż się urodzi malutka córeczka (byłam pewna, że musi to być właśnie córeczka) — a potem — rozmówić się z mężem. Tak dalej być nie mogło! Mogłam ostatecznie zamieszkać u ciotki Gertrudy na górze: papugi tyle wrzeszczały, że krzyk dziecka nie sprawiałby już różnicy. A ciotka, dziwaczka, jaką była, przecież w końcu nie była zła — i wiem, że krzywdę, wyrządzoną ongiś mojej matce, chciałaby naprawić, czego dowiodła, biorąc od dziadków mnie. Byle doczekać, żeby się maleństwo urodziło, a potem — już jakoś będzie!





## SAMOCHODEM NA RIVIERE

Jedziemy dalej..

Perspektywa bocznej ulicy zamknięta monumentalną strukturą schodów dworca St. Charles. Co za oslepiająca biel misternej balustrady, otaczającej setki marmurowych stopni! Symboliczne rzeźby, przedstawiające potęgę Marsylji i Kolonij francuskich, przerywają monotonię długich kondygnacyj schodów i odbijają kontrastowo od zieleni ogrodów dworcowych. Sénes i Arnel są twórcami tego arcydzieła architektonicznego.

Co za schody!

Oczami wyobraźni widzę słynne schody Opery Paryskiej i jeszcze inne: schody Palais de Justice w Paryżu, i jeszcze inne, wijące się koronką balustrad wokoło filarów kościoła Saint-Etienne du Mont.

Francuzi, jako architekci, umieją godzić ze sobą dwie zasadnicze rzeczy: imponującą wspaniałość całości z przepychem detali.

Jedziemy dalej...

Mijamy Palais Longchamp i, zachwyceni, zatrzymujemy się.

Na wzgórzu, na tle lekkiej kolumnady pałacu, pienia się pióropusze bijących fontann i spływają po tarasach kaskadą wody do przezroczej, niebieskiej sadzawki, objętej ramionami trawników i kwitnących drzew...

Wracamy inną drogą.

Omijamy zgiefkliwe, wielkowiejskie ulice i skręcamy w boczne, wąskie uliczki „Les Bas Quartiers“ \*).

Otacza nas mrok wysokich domów, a nasza „Baśka“, zakłopotana, z trudem się porusza po wąskiej, spadzistej przestrzeni.

Nad naszymi głowami łopocze susząca się na wietrze bielizna. Z okien i drzwi wyglądają brudne i krzykliwe postacie. Załatwiają zapachy smażonych na oliwie ryb.

Wkońcu zatarasowuje nam drogę nieprzewidziana przeszkoda: rozstawione krzeselka na środku ulicy!

„Déjeuner à midi“ (Południowe śniadanie).

Śmiech, mechaniczne pianino, brzęk talerzy, owe pachnące ryby...

Co robić?

Ale tu, w Marsylji, te sprawy załatwia się „na wesolo“...

\*) „Les Bas Quartiers“ — dosłownie nie daje się przetłumaczyć. Mniejwięcej: „Uboga dzielnica“.

\*\*\*) „Boeuf à la Mode“ — „Modny wół“ — nazwa ta restauracji, ogromnie modna we wszystkich miejscowościach południowej Francji, jak: Monte Carlo, Mentona, Nicea i t. d.

Zjawia się z pobrzękiem czerwono-zielonej, paciorkowej portjery — włoch, właściciel „Baru na świeżem powietrzu“ i z pomocą gości usuwa stoły i krzesła.

Przejeżdżamy wśród obustronnego zadowolenia.

Jeszcze kilka akrobatycznych zakrętów po straszliwym bruku (który się może równać tylko z naszym Pińczowem), jeszcze kilka stert śmieci, które trzeba ominąć, jeszcze kilka rozświegotanych, jak wróble, gromadek dziecinnych, jeszcze kilka imponująco brzmiących ulic, jak: „Croix-d'or“, lub „Coq-d'Inde“ — i z westchnieniem ulgi wyjeżdżamy na słoneczną, europejską ulicę.

Potem dopiero dowiedzieliśmy się, że byliśmy w „Quartier“ wąskich, równoległych uliczek, położonych w dole, które policjant zwykł obserwować... z wysokości pięknej, prostopadle położonej ulicy, schodząc w dół niechętnie, jedynie w tym wypadku, kiedy kogoś... zarzynają!

(Nadzwyczaj przyjemnie nam się zrobiło, gdy o tem słyszeliśmy).

Godzina dwunasta! O tej porze cała Francja je.

I my więc zatrzymujemy auto przed olbrzymią białą werandę restauracji „Boeuf à la Mode“ \*\*).

Na werandzie, ubranej pelargonjami i osłoniętej żółtą markizą — pełno.

Idziemy więc do sąsiedniej sali.

Lustra, dywany, lampki elektryczne, ukryte w bukietach kwiatów, przepyszne kosze owoców i szelest elektrycznych wachlarzy.



Marsylja — fortyfikacje nadbrzeżne



I tu z trudem znajdujemy stolik.

Pijemy przepyszne wino, i jemy śniadanie, złożone z zakąsek, 5 dań, deseru i czarnej kawy (płacąc śmieszną sumę 16 fr. od osoby — około 5 zł.).

Apetyty mamy wilcze! Menu jest zachwycające!

Byłoby wszystko idealnie, gdyby... Gdyby nie towarzystwo, siedzące przy sąsiednim stoliku, złożone z mamy, papy, dwóch prześlicznych, małych „bebés” i... niańki-murzynki.

Właśnie o tą murzynkę chodzi...

Jak takie murzyńskie usta jedzą! Staralam się nie patrzeć, ale siedziałam tak niefortunnie, że widziałam ją albo przed sobą, albo w lustrze, albo w drugim lustrze (z profilu), albo (jeżeli spuściłam oczy na talerz) nie widziałam, ale... słyszałam! Słyszałam mlaskanie, wciąganie, chrupanie i cały „jazz-band” jedzeniowy.

\* \* \*

Koło 4-ej, po odbyciu plagi w postaci kilkudziesięciu napisanych kart do wszystkich: krewnych, przyjaciół i znajomych, koło 4-ej pojechaliśmy poprzez rozświetloną ulicę Cannébière w dół, do tego skrawka błękitu, usianego tysiącami masztów.

Morze.

Strasznie lubię morze i zawsze, ilekroć je oglądam po dłuższym niewidzeniu, chłonę je wszystkimi zmysłami. Oczy moje — cieszą się jego bezkresną dala, uszy — upajają się szumem i rytmem fali, a płuca — oddychają głęboko cudownym jego powiewem.

Widziałam nasz, szary Bałtyk, widziałam wzburzone, oszalałe Morze Niemieckie. Nie widziałam nigdy jeszcze — Morza Śródziemnego! Czy rzeczywiście jest tak niebieskie, jak mi mówiono?

Byłam tyle razy zawiedziona, że niedowierzałam (Paryż wydał mi się początkowo... brudny, a oliwki... Co było z oliwkami — wiecie!).

Więc zbliżałam się do portu ulicą Cannébière.

Domy się kończą, szeroka jezdnia urywa się, a tam po za wąską balustradą — szerokie kolisko „Starego Portu”.

To nie było niebo, tam, na końcu Cannébière, to było morze!

Morze spokojne i nieprawdopodobnie — niebieskie!

Przypomniało mi to jedno dziecinne wspomnienie:

Kuchnia w obłokach białej pary, duża praczka z zakasaniem rękawami, ogromna balja z wyznaczką (gdzie nie wolno było paluszką wsadzać), stos mokrej, upranej bielizny i woda w balji... przezroczysta. Potem chwila, i czerwone ręce biorą torebkę, coś do wody wysypują, mącą — i ten niezapomniany efekt — woda robi się... niewypowiedzianie niebieska!!! Więc teraz, więc w tej chwili, patrząc na zatokę portową — przypominała mi się ta balja właśnie... ta balja, z tą farbą!



Marsylja — port

To, to jest właśnie najwłaściwsze określenie dla kolorytu Morza Śródziemnego!

A nad tem nieprawdopodobnie szafirowem morzem — rozpostarte równie szafirowe niebo.

Powietrze przejrzyste i słońce, słońce, słońce!

W rękę mam starego „Niebieskiego Gide’a”. Wyczytałam w nim, że: „Marsylja przez większą część roku prześladowana jest przez wiatry i deszcze i stanowi kontrast zacisznej Rivieri. Natomiast Nicea, Mentona i Monaco — są krainami wiecznej ciszy, pogody i słońca”.

Tak wyczytałam w przewodniku. Tymczasem przekorna pogoda śmiała się do nas najpowabniejszym, słonecznym uśmiechem... w Marsylji, a naodwrot: Niceę zwiedzaliśmy cały czas pod budą samochodu, lub pod osłoną... parasola.

Śmiało się słońce ze starego rutynisty Gide’a.

Na tle szafirowego morza bielily się płatki dalekich i bliskich żagli, migaly szybkie motorówki, kołysaly się poważnie, uszeregowane u brzegu, statki marynarki handlowej. A wszystko to w wąskim półkolu portowym, ujętem łańcuchami zarysów górskich i panoramą amfiteatralnie położonego miasta.

Hen, w górze, na tle zatoki, rzucony od jednego jej brzegu po drugi, misterny „Pont Transbordeur”<sup>\*)</sup>, cudem jakoby wiszący w powietrzu lekkością wiązań i siatką przęseł.

A poza nami na brzegu?

Tłum, tłum dziwaczny, jaki spotkać można jedynie w portowym mieście.

\*) „Pont Transbordeur” — wielki dźwig portowy, służący do przeładowywania towarów. (d. c. n.)



HAN. SKAR.

## KORESPONDENCJA Z ANGLJI

(Dzielna postawa królowej Marji angielskiej, Bohaterka Anglji — Edith Cavell. Posłanki angielskie. Jakże kobiety są najbardziej kochane?)

Więzy sympatji, wiążące cały naród brytyjski z demokratycznym swym dworem i wszystkimi jego członkami, udzielającymi się społeczeństwu bez specjalnej pompy przy lada okazji — zacieśniły się jeszcze bardziej w okresie niebezpiecznej, a przedłużającej się choroby króla Jerzego.

Dowody wielkiego przywiązania, jakie otrzymywał dwór buckinghamski ze strony swych podwładnych — stały się wyjątkowym zjawiskiem w historii wszystkich dotychczasowych panujących w Anglji. Gdy w wieku 18 królewska para opiewana była na wszelkie sposoby w napuszonych, pełnych nieszczerzej afektacji i ekliwych komplementów, odach, czy poematach — miał to być raczej hold urzędowy, składany koronie brytyjskiej, a nie osobie monarchy.

Dziś — jakaż wielka różnica! Król Jerzy, związany niemal organicznie ze swym narodem, posiadający cechy charakteru rzetelnego rasowego anglika, i królowa Marja, pełna prostoty w sposobie bycia, dostępna dla wszystkich, najbardziej demokratyczna z pośród panujących obecnie w Europie — potrafi wzbudzić w poddanych swych szczerze uznanie, graniczące niemal z uwielbieniem.

Dziś nikt nie pisze już w Anglji poematów królewskich — lecz niezliczona ilość listów, pisanych niewyszukanym językiem, nadsyłanych na ręce królowej w dniach ciężkiej dla niej próby — ze wszystkich krańców świata, gdzie tylko mieszka obywatel brytyjski — świadczyła o niebywalej popularności tej pary.

Dodać należy, że pogodę i prostotę w sposobie bycia wniosła do pałacu buckinghamskiego dopiero matka dzisiejszego króla, umiłowana przez wszystkich królowa Aleksandra, zmarła przed trzema laty.

Za panowania królowej Wiktorji przy dworze panowała surowa etykieta, każde przyjęcie odbywało się z zachowaniem sztywnego ceremonjału, w grobowym milczeniu.

Królowa Marja nietylko nie nawróciła do dawnych ceremonji, lecz uczyniła je jeszcze bardziej swobodnymi. W duchu też wielkiej prostoty i miłości bliźniego wychowała jedyną swą córkę, księżniczkę Mary, obecną księżniczkę Lascelles, znaną powszechnie pod nazwą „miłosiernej księżniczki“, której dobroczynność i ofiarność złagodziły niejedną biedę i nędzę w kraju w okrutnych czasach powojennych, a szczególnie w latach szerzącego się tu tragicznie brzo-bocia.

Dzielna postawa monarchini brytyjskiej ujawniła się najbardziej w dniach, gdy małżonek jej wal-

czył ze śmiercią, i całe otoczenie zaczynało już wątpić w możliwość uratowania życia monarchy — a gdy królowa nie opuściła żadnej okazji, by w zastępstwie chorego ukazać się oficjalnie podczas wszystkich uroczystości narodowych, czy innych momentów, wymagających jej obecności.

Pomimo zmęczenia i niepokoju — zdobywała się na uśmiechniętą twarz i opanowane ruchy — aby zapobiec szerzącej się panice wśród poddanych, mniemających, nie bez słuszności, że w razie katastrofy — nastąpić mogą nieprzewidziane zmiany w ustroju państwowym imperjum.

Dziś, gdy niebezpieczeństwo zostało usunięte — królowa śpieszy złożyć z własnych funduszków pokazną sumę na budowę największego szpitala w stolicy pod nazwą Middlesex, który stanie na Mortime-Street. Asystując podczas poświęcenia kamienia węgielnego i odpowiadając na gorące owacje, zgotowane jej przez tłumy, oświadczyła, że „oboje z królem cieszą się bardzo z tej nowej placówki, marzeniem ich bowiem stało się — założenie gęstej sieci szpitali i domów odpoczynkowych dla rekonwalescentów po całym kraju, dziś bowiem bardziej niż kiedykolwiek wierzą oboje w zbawienne skutki medycyny oraz wzorowo postawione pielęgniarstwo“.

Middlesex-Hospital ma stać się największą centralą na świecie dla dociekań i badań zdobyczy z zakresu medycyny.

\*

W Londynie zmarł w podeszłym już wieku wybitny rzeźbiarz angielski sir George Frampton, który wslawił się całym szeregiem popiersi znakomych ludzi. W ostatnich czasach duży rozgłos uzyskało dzieło Framptona — popiersie miss Edith Cavell — sanitariuszki angielskiej która poniosła męczeńską śmierć z rąk Niemców.

O Edith Cavell wie najmniejsze dziecko w Anglji, a w Londynie na Charing-Cross Road stoi piękny, marmurowy pomnik sanitariuszki z napisem „Humanity“, przedstawiający ją w sukni siostry miłosierdzia, którą miała na sobie do ostatniej chwili.

Bohaterka angielska była córką księdza wikarygo w kościełku Swardestone (hrabstwo Norwich), gdzie od dziecka wspólnie ze swym ojcem oddawała się pracy humanitarnej.

Podczas wielkiej wojny wyrusza w charakterze sanitariuszki do Belgji i z narażeniem własnego życia oddaje nieocenione przysługi angielskim i francuskim więźniom wojennym, w okresie okupacji niemieckiej.



W sierpniu 1915 roku zostaje aresztowana przez Niemców, a w październiku tegoż roku bez dowodów winy rozstrzelana na placu, publicznie, po przebyciu całej golgoty indagacyj. Ciało Edith Cavell zostało sprowadzone po wojnie do Anglii i pochowane pod murami starożytnej katedry w Norwich. Tragiczna zaś, pełna poświęceń i ofiarności, historia życia bohaterki posłużyła za temat do jednego z najnowszych filmów angielskich p. t. „Dawn“ („Świt“), który z olbrzymim powodzeniem wyświetlany był w Brukseli i Londynie.

Ostatnio jednak film ten, aczkolwiek nie budzi krwiożerczych instynktów, przeciwnie, oddziaływa pacyfistycznie, podkreślając tylko groźbę wojny i okrucieństwo Niemców, wywołał liczne protesty ze strony władz niemieckich, włącznie nawet do interwencji dyplomatycznej. Dotychczas jednak, pomimo zabiegów dyplomatycznych ze strony Niemców, nie wydano zakazu wyświetlania go zagranicą.

\* \* \*

A teraz kilka słów o posłankach angielskich.

Z pośród kilkunastu na czołowe pozycje wysuwają się: miss Susan Lawrence, lady Astor, miss Ellen Wilkinson, lady Iveagh i bardzo popularna lady Asquith — a wszystkie słyną, jako nieustraszone, pełne temperamentu bojowniczkę o prawa kobiece, walczące na śmierć i życie o każdy wniosek, o każdą poprawkę do prawa. Wszystkie posiadają dar krasomówstwa i odwagę swoich przekonań.

Ostatnio, jednak, na widowni parlamentu zdarzyło się z temi paniami kilka zajęć tak zabawnych — że przez długi czas komentowano je szeroko na bruku londyńskim.

Lady Asquith ze stronnictwa konserwatywnego, najzacieklejszy wróg wszelkich poczynań, wychodzących z obozu nieprzyjacielskiego — socjalistycznego — ulegając zapewne wszechwładnej modzie — zjawiała się któregoś wieczora do parlamentu wprost z zebrania towarzyskiego, mając na sobie piękną, jaskrawo czerwoną suknię, takiegoż koloru kapelusz i elegancką torebkę. Pojawienie się posłanki w tym stroju wywołało taką wielką wrzawę wśród zgromadzonych posłów — że toczące się właśnie debaty zostały przerwane. Skonsternowana posłanka zorientowała się dopiero wówczas, o co chodzi, gdy poseł ze stronnictwa Labour Party (Stronnictwo Pracy) zaczął wołać pod jej adresem: „jakżeż się cieszymy, że wreszcie pani

przeszła do naszego obozu, jakżeż się cieszymy, że wreszcie zrobiła się pani czerwoną...“.

Oburzona lady opuściła natychmiast salę obrad.

Następne wydarzenie miało miejsce w parę tygodni później z posłanką ze stronnictwa pracy, Susan Lawrence. W angielskiej izbie gmin panuje zwyczaj odwieczny, że posłowie, którzy biorą udział w posiedzeniach izby, nie *zdejmują kapeluszy*. Innymi słowy, każdy poseł, który się zwraca do prezesa izby z zapytaniem w jakiegokolwiek sprawie, powinien mieć głowę przykrytą.

Właśnie toczyła się bardzo poważna dyskusja nad pewnym wnioskiem i miano przystąpić za chwilę do głosowania, gdy posłanka Lawrence, zapominając zapewne, że jest bez kapelusza, zwróciła się do prezesa izby, wysuwając swój wniosek.

„Kapelusz, kapelusz, kapelusz!“ — zaczęto wołać żartobliwie i któryś z usłużnych kolegów podał posłance swój własny, stary, zrudziały filc, lecz pani Lawrence, przejęta powagą sytuacji — odrzuciła z oburzeniem przysługę posła Wiltona... Ponieważ, jednak, pozostała nadal z głową odsłoniętą, prezes izby nie zwrócił uwagi na jej słowa i poddał poprzedni wniosek głosowaniu.

Dotknięta do żywego, miss Lawrence opuściła salę posiedzeń.

\* \* \*

„Jakie angielski są najbardziej kochane?... panowie, prosimy o odpowiedź!“ — zadaje to pytanie jeden z dzienników londyńskich.

Odpowiedzi nadeszły niebawem... a wszystkie prawie brzmiały na jedną nutę: „Tylko piękny charakter i wdzięk osobisty kobiety zapewniają szczęście w małżeństwie. Wszelkie podniety zewnętrzne, wszelkie wybryki, dzisiaj tak modne — tracą w życiu codziennem!“.

Dowodem tego, zapewne, posłużył fakt zaręczyn pewnego bardzo zamożnego, przystojnego i wybitnego męża stanu w Londynie ze skromną trzydziestoparoletnią, ani wybitnie piękną, ani zbyt szykowną, niczem specjalnie nie odznaczającą się kobietą.

W salonach high-life'u zawrzało. Zagadnięty w sprawie tego wyboru, szczęśliwy narzeczoną odparł:

„Znam życie... narzeczoną moja jest najzacieklejszą kobietą, jaką kiedykolwiek spotkałem na swej drodze. Uśmiech jej nie jest zwodniczy — jest odbłaskiem pięknej jej duszy — a takie angielski są najbardziej kochane“.





## Z TEATRÓW

TEATR POLSKI

„Dwaj panowie B.“ — komedia w 3-ach aktach Marjana Hemara. — Reżyserja Karola Borowskiego.

Coraz częściej spotykamy się w sztuce i literaturze z przeprowadzeniem równoległych między życiem, a fantazją artysty. Modę tę wprowadził oficjalnie bodajże Pirandello, a potem wiele razy rozstrzygano ten dylemat na różnych płaszczyznach i z różnych punktów widzenia. „Dwaj panowie B.“ — Hemara — to sztuka, która zagadnienie to poruszyła raz jeszcze, lecz oryginalny talent autora tak mocno wycisnął swe piętno na całości i tyle jej nadał rumieńców nowego życia, że sztuka od początku do końca wydaje się czystym eksperymentem. Twórczość Hemara znamy oddawna, podziwiając ciętość jego pióra w głównych „przebojach“ Qui-pro-quo. Zналиśmy go jednak tylko jako ciętego satyryka; teraz objawił się nam w zupełnie nowej postaci: pierwszorzędnego „człowieka teatru“. Określenie to, może trochę zbyt ryzykowne, ale zawierające dużo więcej, niż słowo — komedjopisarz, lub — znawca teatru. Hemar czuje scenę, jak rzadko kto; sztuka jego posiada walory czysto wizualne: nie w niej nie ma literatury — jest tylko czysty teatr, łątniący życiem i gnający akcję w jakiegoś oszalałym tempie. Przebija w tem jednak pewna jednostronność,

która, jak zwykle, ma odwrotną stronę medalu: podczas trzech aktów, zapchanych ruchem i życiem, widz nie ma czasu myśleć, bo musi zdążyć za tem wszystkim, co się dzieje na scenie.

Jednak po wyjściu z teatru, a nawet przedtem, pod koniec obserwując „małżonków mimo woli“ — pomyśli, że tu jednak nie wszystko jest w porządku: że wątek napewno poplątałby się beznadziejnie, gdyby nie był dociągnięty do końca z ogromnym wysiłkiem i związany na mocny, gruby węzeł, jakim jest przymusowe małżeństwo Gorzenia z frywolną mężateczką. Ale nawet ten węzeł nie zupełnie uratował sytuację, bo wychodzi się z teatru bez przeświadczenia, że sprawa została w jakiś sposób rozwiązana. Nie można nawet stawiać żadnych hipotez, tak dalece nie wiemy, jak ułoży się życie tej młodej pary. Poprostu potrzebny jest jeszcze jeden akt, albo całkiem nowa sztuka (dlaczego serje mają być tylko w kinie), żeby całość miała jaką taką literacką okrągłość i — prawdopodobieństwo.

Artyści wszyscy, bez wyjątku, grali świetnie, tylko może „scena na scenie“ w drugim akcie była mało markowana. Nie wiedzieliśmy, czy artyści grają tak właśnie, bo inaczej nie umieją — czy też z roli im tak wypadło. Poprostu — mało nieporozumienie. Dekoracje poprawne.

Z. M.



Janina Munclingrowa w świetnej roli gospodyni Domańskiej

## Z KSIĄŻEK

Jan Bojer: „Wielki głód“, powieść, przełożył L. Staff — Instytut wydawniczy „Renaissance“

Odczuwamy niejednokrotnie we współczesnej literaturze europejskiej wygaśnięcie iskry prometeizmu. Samo poszukiwanie nowej formy artystycznej, dążenie do osiągnięcia maximum ekspresji, wysiłek twórczy, całkowicie absorbujący autora, niezasze wystarcza czytelnikowi, który w utworze biletystycznym poza formą, interesującą smakoszków, poza fabułą, poszukiwaną przez niewybredną publiczność, szuka rozwiązania dręczących go zagadnień: „poco? dlaczego? skąd? — co jest celem i zadaniem człowieka? co jest początkiem i końcem wszechrzeczy?“

Pytania te, nigdy nie zaspokojone, są motorem wszystkich poczynań Pera Holma z „Wielkiego Głodu“. Dziecko bez rodziców, wychowaniec biednej rodziny rybackiej, niemal sobowtór swego twórcy, Jana Bojera, gnany niepohamowaną żądzą wydarćia bóstwu jego tajemnicy i uszczęśliwienia ludzkości, pragnie naprzód zostać pastorem, a gdy wczesne zawody życiowe rozwiały marzenia dzieciństwa, nieodrodny potomek wikingów heroicznymi wysiłkami zdobywa wykształcenie, stanowisko, sławę znakomitego inżyniera, olbrzymi rozmach tytana, ujarzmiającego katarakty nilowe, niezależność materjalną i duchową człowieka, który ponad sobą nie widzi Boga.

Jakiś czas bóstwem jego była stal. Droga udo-



skonalenia środków technicznych i opanowania żywiołów, pragnął wyzwolić ludzkość, wzorem Prometeusza porwać dla niej ogień z nieba. Ale bliższe zapoznanie się z kulisami wielkiego przemysłu, uczyniło zeń sceptyka. Przyszedł do wniosku, że „ogień i stał czynią człowieka zwierzęciem“. Maszyna zabija w nim pierwiastek boski. W wiecznym pędzie za nowymi zdobyczami techniki Per Holm napróżno szuka momentu piękności. A nie znalazłszy go, jak Tolstoj, zwraca się ku prostocie, która dla niego równa się beztrudnemu używaniu życia. Kandydat na Prometeusza wyśpiewuje swój hymn djonizyjski w małżeństwie z piękną Merlą. Ale pokusa ognia i stali odnajduje go w zaciszu wiejskim. Tym razem zdetronizowane bóstwo mści się na nim. Wszystkie poczynania Pera ujawniają wprawdzie jego genjusz matematyczny, ale doprowadzają jego najbliższych do ruiny, a jego niemal do obłąkania. Złamany duchowo i fizycznie nowoczesny Hiob, odtracony przez wszystkich, prócz kochającej go zawsze żony, na odludziu, w górskim zakątku, który ma mu przywrócić zdrowie, czyha na niewiedomego Boga. Nie jest już nim stal i ogień, dwie potęgi, które go zdradziły, ale nie jest nim również ów „asceta na krzyżu“, którego zrozumieć i ukochać Per jeszcze nie potrafi.

Cios ostateczny: tragiczna śmierć ukochanej córeczki, zaszcutej psem przez niedobrego sąsiada, zamiast go złamać, wyzwala zeń człowieka ewangelicznego. I kiedy susza wypaliła wszystkie zasiewy, Per wstaje nocą, aby zasiać zboże na polu śmiertelnego wroga. W tym akcie samozaparcia odnajduje iskrę bożą, ogień prometejski: ducha ludzkiego, który „zbiera żniwo śmierci, sieje zato marzenie o życiu wiecznym i w odplątę za swe nieszczęście zaludnia wszechświat wszechmiłującym Bogiem“.

Dzieje nowoczesnego Prometeusza, opowiedziane z przejmującą prostotą, właściwą pisarzom skandynawskim, dźwigają się chwilami do wyżyn istotnego patosu. Linja ideowa utworu, przeprowadzona konsekwentnie, nie załamuje się nigdzie pod ciężarem bogatej i interesującej fabuły.

Przekład Staffa naogół stoi na poziomie oryginału, z drobnymi odchyleniami, spowodowanymi niemożnością całkowitego wyzwolenia się z więzów języka obcego.

S. P. O

## KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI

Wacław Hordysz: „Ody Prostackie“, „Insula Aesculapii“, „W niewoli“ (poezje).

Stanisław Zakrzewski: „Drogi i Manowce Reklamy“, „Almanach Biblioteki Narodowej“.

Paweł Staśko: „Przygoda Leśnej Rusalki“. Biblioteka groszowa.

Blasko Ibanez: „Ziemia Zdobywców“ 2 tomy. (Biblioteka groszowa).

Jan Rogala: „Odkupienie“ — wydanie drugie.

Emilja Jankiewiczowa: „Lulu na Rivierze“ — nakład Gebethnera i Wolffa.

Kazimierz Grodzki: „Jadą ulani“. Biblioteka groszowa.

Jan Ł. Bystron: „Wspomnienia syberyjskie“.

Edward Ligocki: „Zwid złego ducha“ (powieść). — Nakład Gebethnera i Wolffa.

Helena Grabowska: „W miasteczku“. — Nakład „Naszej księgarni“.

Marja Daszyńska: „Alkohol nieszczęściem człowieka i narodu“. — Książnica - Atlas.

Milosz Gembarzewski: „Krzak gorejący“ (nowela). — Nakładem księgarni F. Hoësicka.

Mah Jong: „Świat Tajemnic“. — Biblioteka groszowa.

## Kobieta w świecie i w domu

DZIENNIKARKA — NUREK.

Swego czasu donosiły dzienniki amerykańskie, że Miss Małgorzata Cambell Goodman, znana w Detroit nowelistka, autorka sztuk teatralnych i dziennikarka w redakcji „Free-Press“ — zorganizowała przedsiębiorstwo akcyjne dla wydobycia zatopionych skarbów. Nadto dzielna Miss Cambell osobiście wzięła udział w poszukiwaniu i udało się jej wydobyć ładunek miedzi, wartości 550.000 dolarów, zatopiony na dnie rzeki Huron, jeszcze w 1865 r., podczas katastrofy ze statkiem Pewabic. Akcje dziennikarki — nurka poszły w górę.

H. S.

### AMERYKANKI NA STANOWISKACH RZĄDOWYCH.

Ostatnie wybory, odbywające się w Stanach Zjednoczonych, wysunęły na stanowiska rządowe i do władz ustawodawczych — aż 155 amerykanek!

Sukces niebywały!

Do parlamentu weszły trzy kobiety, dziwnym zbiegiem okoliczności nające jedno i to samo imię „Ruth“... wszystkie więc czasopisma amerykańskie umieszczają długie artykuły na temat wyboru „aż trzech Ruth“. Dotychczas, w gronie członków rady miejskiej Nowego Yorku jedyną kobietą była, pani Ruth Baker Patt... dziś przybyły jej towarzyszki w osobach pani Ruth Bryan Oven z Florydy (partja demokratyczna) i pani Ruth Hanna Cormick z Illinois (partja republikańska). Dodacь przytem należy, że te dwie ostatnie posłanki do parlamentu są córkami słynnych swego czasu w Stanach polityków: Williama Bryana z partji demokratycznej i Markusa Henna z partji republikańskiej.

Córki więc poszły w ślady ojców.

H. S.

### JAK JEST WŚRÓD MURZYNEK.

Tak mało o nich wiemy...

Można sobie zaledwie wyobrazić, z jaką trudnością posuwa się sprawa oświatowa wśród murzynów, prowadzona przez różne misje europejskie lub amerykańskie.

Ludność miejscowa, przyjmując cywilizację chrześcijańską, musi zerwać ze światem swych obyczajów i przesądów — równa się to poprostu zupełnej zmianie umysłowości i kultury tego plemienia.

A jednak oświata szerzy się coraz intensywniej.

Cale wybrzeże południowej Afryki pokryte jest szkołami, które, najzupełniej przystosowane do środowiska — stan-



wią właściwie jak gdyby małe, zamknięte w swem życiu wioski. Mówimy tu o szkołach żeńskich.

Pośrodku ogrodu czy pola, — odgradzonego od szerokiego świata bambusowym płotem, stoją małe domki, budowane z cegły, kryte dachem trzećinowym, z „apartamentem“ misji w środku. Gmach największy, zbudowany najsolidniej, mieści w sobie salę wykładową, biblioteczną oraz pokoje prywatne nauczycielek — europejek (ostatnio murzynek). Tu się zbierają dziewczynki w czasie rekreacji na gry towarzyskie, tu się odbywają godziny posiedzeń w dnie słotne, bo podczas pogody obiad spożywa się na matach na świeżem powietrzu.

Pozatem, pupilki dzielą się na kilkanaście grup (po 5-10 uczennic) z których każda zajmuje osobny domek, jako „rodzina“, i prowadzi pod okiem najstarszej dziewczynki własne gospodarstwo.

Każda grupa, każda „familja“ uprawia własny ogródek, upiększa własnymi wyrobami sztuki stosowanej własny „dom“, żyje swoistem życiem. Wzorowa szkoła uczy murzynki, jak żyć kulturalnie. Obejmując program praktycznych zajęć, uczy też, oczywiście, czytać, rachować, śpiewać, kochać przyrodę, chętnie wykorzystywać wrodzone murzynom zdolności do plastyki i rytmiki.

H. S.

#### MEŃCZYŻNA O PRZYSPOBIENIU WOJSKOWEM Kobiet.

Czy, jak i w jakim zakresie kobieta ma przysposabiać się do służby wojskowej — jest jeszcze dotychczas kwestją sporną wśród samych kobiet. Na konieczność porozumienia i stworzenia programu przez kobiety same, zwraca uwagę... mężczyzna.

P. Mieczysław Fularski, autor niedawno wydanej książki p. t. „Przysposobienie wojskowe w Polsce“, rozważa to zagadnienie w specjalnym rozdziale swej pracy. Kreśli historję ruchu wojskowego wśród polek ostatniej doby, charakteryzuje ich udział i organizację podczas wojny, odnosząc się do tych poczynań, opromienionych bohaterstwem jednostek, z dużem uznaniem.

Na pytanie, jakim drogami ma pójść dalsza praca wojskowa kobiet, autor odwołuje się do opinji ogółu kobiecego. Swoje zaś stanowisko określa w ten sposób:

„...jestem przeciwnikiem wysyłania kobiet na front. Uważam jednak, że kobiety mogą i powinny służyć w wojskach pomocniczych i na zorganizowanym wojskowo froncie gospodarczym, tylko zaś w pewnych wyjątkowych wypadkach i w armji frontowej. Wiele wprawdzie poważnych i słusznych względów przemawia za tem, aby okropności wojny nie powiększały ofiarami kobiecemi, są jednak chwile, kiedy interes Ojczyzny jest ważniejszy od jakichkolwiek innych względów“.

P. Fularski wyszczególnia, jako dziedziny, które powinno objąć przysposobienie wojskowe kobiet: administrację wojskową, oświatę, sanitariat, łączność — pozatem wszelką pracę gospodarczą w kraju w zastępstwie mężczyzn, udających się na front. Jest to, oczywiście, olbrzymia dziedzina, obejmująca wszystko — od pracy umysłowej do fabryk i warsztatów wytwórczych.

Kobiecie z karabinem, maszerującej na front do okopów, pozostawia autor drogę otwartą „w wyjątkowych wypadkach“. Nie jest tu mowa o ostatecznościach, jakie na całym świecie mogą się zdarzyć, gdy oblężenie, nagła napaść wroga uzbraja doraźnie kobiety i nawet dzieci w obronie, lecz mowa o „szkoleniu nawet do ewentualnej służby frontowej“.

Nie jest to stanowisko dość jasne. Zasada równouprawnienia, jaką tak logicznie i rozumnie przeprowadza autor, byłaby owem „wyjątkowem“ dopuszczeniem kobiet do służby frontowej naruszona — logicznie należałoby się domagać otwarcia szkół wojskowych dla kobiet i dopuszczenia ich narówni z mężczyznami do stałej służby w armji we wszelkich broniach.

Logicznie! Ale czy logika wytrzymałaby atak zdrowego sensu? Czy mogłaby się ostać wobec najprymitywniejszych pojęć o roli kobiety matki, wychowawczyni i szerzycielki pokojowej kultury?

Zarzut powyższy odnosi się nietylko do stanowiska autora „Przysposobienia“ — dotyka raczej stanowiska mas kobiecych zarówno, jak t. zw. elity kobiet, które dotychczas same jeszcze nie zorientowały się, czy ich zadania macierzyńskie i kulturalne, w sensie budowania pokoju, nie przewyższają, jako służba ludzkości i ojczyźnie, zadań żołnierskich? Należałoby się nad tem poważnie zastanowić!

J. K.

#### WOJNA O KOBIETE.

Ni mniej, ni więcej. Toczy się od dłuższego czasu i kosztowała już życie 120 ludzi, nie licząc rannych. A prowadzi ją jako wodzowie, dwaj naczelnicy plemion beduińskich — w okolicach Damaszku.


Powodem tej średniowiecznej walki stała się uroczka, młoda angielfka, Miss Ethel Convard. Występowała ona, jako artystka dramatyczna w teatrze angielskim w Damaszku i tam wzbudziła miłość młodego króla pustyni, szejka Fuaza. Miss Ethel śmiała się początkowo ze swego wielbiciela, wreszcie zgodziła się na odwiedzenie go i pojechała do stolicy szejka, rozbitej w namiotach na pustyni o 200 kilometrów od Damaszku. Udała się tam w towarzystwie kolegów i koleżanek, pod eskortą urzędników konsulatu angielskiego. Fuaz przyjmował swych gości po królewsku i błagał Miss Ethel, aby została jego żoną i królową jego ludu — liczącego 10 tysięcy „duszy“. Narazie jednak piękna angielfka nie chciała o tem słyszeć i wkrótce wyjechała z Damaszku. Wróciwszy jednak do Londynu, rozmyśliła się widocznie. Po kilku tygodniach wyjechała z powrotem do Damaszku i zaślubiła swego szejka, który z całym ceremonjałem ogłosił ją królową swego plemienia. I byłaby może młoda para żyła najszczęśliwiej, gdyby w pani szejkowej nie był się śmiertelnie zakochał rodzony dziadek jej męża, ośmdziesięcioletni szejk Nurrid, władca drugiego, również licznego szczerpu beduinów!

Nurrid wysłał posłów do Miss Ethel z naszyjnikami wspaniałych brylantów i prośbą o przybycie do jego siedziby — w przeciwnym razie zagroził wojną!

W odpowiedzi na to, szejk Fuaz wystąpił odrazu do walki i wojna domowa o nowożytną piękną Helenę rozpoczęła się na dobre. Konsulat angielski w Damaszku próbuje pogodzić przeciwników, drogą dyplomatycznych zabiegów i układów. Ma jednak nielatwe zadanie. Fuaz oświadczył, że żony swej nie odda i bronić jej będzie do ostatniej kropli krwi. Angielki, wychodzące za cudzoziemców, zwłaszcza w krajach egzotycznych, nie tracą swej macierzystej przynależności państwowej, właśnie dlatego, aby w razie jakiegś krzywdy, miały obronę w sile i powadze swego rządu. Ale znów pani Fuazowej nie dzieje się dotychczas żadna krzywda, a mąż ma pełną rację i prawo bronięcia jej. Rząd angielski mógłby stanąć po stronie Fuaza, przeciw jego awanturniczemu dziadkowi, ale nie chce mieszać się w sprawy wewnętrzne koczowniczych plemion. W ten sposób ta jedyna chyba w dziejach nowożytnych wojna, przeciąga się i niewiadomo, jaki będzie jej koniec. Chyba, że szejki i jego małżonka zrezygnują z „królowania“ i ujdą przed zemstą swego dziadka, na teren cywilizowanej i mniej romantycznej Europy.

N. J.

**ZABURZENIA W TRAWIENIU** PRZEWELEKŁE, UPORCZYWE ZAPARCIA STOLCA, ORAZ NADMIERNA OTYŁOŚĆ, BEZ SPECJALNEJ DIETY LUB ZMIANY TRYBU ŻYCIA, USUWAJĄ „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ (z KOGUTKIEM), SPRZEDAJĄ APTEKI I SKŁADY APTECZNE. — GŁÓWNY SKŁAD: APTEKA A. GAŚCICKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.





## URLOPY DLA PAŃ DOMU

Rumuńska Liga Kobiet podniosła ciekawy problem — corocznych urlopów miesięcznych dla — każdej pani domu, mając na myśli nie kobiety, pracujące zawodowo, lecz te, które pełnią obowiązki matek, gospodyń i t. d.

Mimowolny uśmiech wybiega nam na usta; jest to coś tak nowego, tak niepraktykowanego dotąd, że wydaje się wprost humorystycznym. Przeważna ilość kobiet odpowie odrazu: — ależ to wszystko moje, pracuję wszak we własnym domu, w którym ja wszystkim kieruję i rządę! — Lecz czy najbardziej wszechwładni monarchowie, najgenialniejsi ministrowie nie korzystają z urlopów odpoczynkowych? A przyznać trzeba, że niejedna z naszych pań domu, by dotrzeć do „pierwszego“, musi wykazać istic ministerjalne zdolności.

Pozostawiając w tej chwili na boku bliższe praktyczne uzasadnienie projektu rumuńskiej Ligi Kobiet, chcę podnieść tu pewien psychologiczny rys, jaki problem ten z sobą przynosi. Jest nim uznanie zajęć kobiecych w domu za pracę rzeczywistą i to pracę męczącą, po której odpoczynek uważa się za konieczny. Gdyby ten pogląd się ustalił, zmieniłby on wiele w życiu tysięcy kobiet, gdyż pomimo wszystko, co się na ten temat pisze i mówi, daleki jest on jeszcze od powszechnego uznania.

W powojennych stosunkach gospodarczych bardziej, niż kiedykolwiek, kobieta musi i powinna dzielić wspólnie z mężczyzną pracę nad utrzymaniem domu i rodziny. W wielu wypadkach jest ona zmuszona do pracy zawodowej, w wielu innych zakres jej pracy to — dom własny.

Kwestja mieszkania, rozpaczliwie przedstawiająca się jeszcze dzisiaj, całym swym ciężarem spada na kobiety, które, zmuszone do przebywania dzień cały w swych mieszkaniach, muszą pokonywać wielki płynących stąd trudności. Często z braku miejsca, lub wskutek ciężkich warunków egzystencji, nawet kobiety nieprzyzwyczajone do pracy fizycznej obywać się muszą bez płatnej pomocy, lub posiadają ją tylko na parę godzin. W tych warunkach dzień zbiega szybko, jeden do drugiego podobny, wypełniony drobiazgową, lecz bezustanną pracą i myślą o sprawach domowych, często bez chwili odpoczynku. A gdy wieczór nadejdzie, ledwie jest czas na przejrzenie gazety, bo już powieki kleją się do snu.

Praca ta jednak dotąd jest bagatelizowana. Do niedawna nie liczone z nią wcale, a i w ostatnich czasach, pomimo coraz częstszych głosów, domagających się jej uznania, większość mężczyzn nie zdaje sobie wcale sprawy z tego, że żony ich, zajęte tylko w domu, pracują naprawdę i narówni z nimi przyczyniają się do utrzymania domu i rodziny. Praca ich nie przynosi nic na „pierwszego“, a więc tem samem

nie liczy się w budżecie; tego zaś, co one zaoszczędzą lub z kosztów miesięcznych wykreślą — skoro się nie wydaje — to i, siłą faktów — nie rachuje się.

A gdyby tak naprawdę projekt rumuńskiej Ligi Kobiet został urzeczywistniony i płatna pomoc musiałaby zastąpić odpoczywającą panią domu? Jakże wtedy inaczej cyfrowo przedstawiłaby się ta bagatelizowana praca!

Cóż jednak mamy mówić o „urlopach“, skoro tak trudno jest w kołowrotku domowych zajęć zdobyć w ciągu dnia parę godzin, przeznaczonych wyłącznie „dla siebie“!

A godziny te są naprawdę nieodzowną koniecznością dla obrony własnej indywidualności przed zalewem powszedniości dnia codziennego, dla pracy nad samą sobą, by nie pozostać wtyle za postępem, idącym milowymi krokami, i w przyszłości nie usłyszeć oceny z ust własnych dzieci, że „mamusia jest bardzo dobra, ale nas już nie rozumie“.

W jednym z poprzednich numerów „Bluszczu“ p. Kiewnarska w świetnym artykule p. t. „Matka pracuje“ uzasadnia konieczność szacunku dla pracy kobiet i konieczność zdobycia, jeśli nie dla nas, to przynajmniej dla naszych córek, warunków radosnej i pełnej wiary we własne siły, pracy zawodowej, a równocześnie zrzucenia z siebie owego balastu drobiazgów, które przygniatają nas obecnie swym ciężarem.

Nim to nastąpi, nim zdobędziemy „urlopy“, a choćby „godziny“, własnemu „ja“ poświęcone, pierwszy, najbliższy etap — to zdobycie obywatelstwa powszechnego dla tej prostej prawdy życiowej, że praca żony około domowego ogniska jest równorzędną z pracą zawodową męża. Niechaj radosnym stanie się dziś już wysiłek owych tysięcy nieznanych i nieuznanych pracowniczek domowych, wychowawczyń przyszłych, może szczęśliwszych od nich, pokoleń kobiecych; niechaj radością przepoją się ich serca, że oto trud ich został oceniony, a zmuśna i niepozorna praca uznana i szacunkiem otoczona.

Niechaj zrozumie i zapamięta każdy, że żona i matka naprawdę pracuje.

Zofja Drabikowa.





## O KWALIFIKOWANIU DO ZAWODÓW

Zakwalifikowanie jakiejś osoby do określonego zawodu stanowi zagadnienie dość zawile, ponieważ trzeba się liczyć z szeregiem różnych, nieraz wyłączających się, okoliczności i warunków. Pomijając tutaj właściwości psychiczne jednostki, zatrzymajmy się na właściwościach fizycznych, które mogą czynić daną jednostkę zdolną do wykonywania określonych czynności, lub też je uniemożliwiać. Przedewszystkiem dla uniknięcia niejasności, okreśmy wyraz — zawód.

Zawodem nazywamy pewien rodzaj pracy, korzystnej społecznie, której człowiek poświęca czas i siły fizyczne i intelektualne przeważnie przez całe życie i która daje mu możliwość egzystencji. Aby móc z powodzeniem wykonywać czynności określonego zawodu, należy posiadać odpowiednie właściwości fizyczne. Właściwościami fizycznymi nazywamy zespół cech morfologiczno-fizjologicznych oraz ogólny stan zdrowia danej osoby. Z jednej strony, poszczególne jednostki różnią się od siebie owymi właściwościami, z drugiej zaś strony, rozmaite zawody wymagają od pracowników niejednakowych właściwości fizycznych. To też zakwalifikowanie do zawodu określonej jednostki przedewszystkiem wymaga poznania jej właściwości fizycznych zarówno wtedy, gdy będziemy mieli do czynienia z doбором pracowników do określonego zawodu, jak i wtedy, gdy zechcemy poradzić komuś wybór pewnego zawodu. Podkreślić jednak należy, że doradzenie komuś odpowiedniego dlań zawodu stanowi zagadnienie niesłychanie zawile i dotąd nierozwiązane. O wiele prościej przedstawia się dobór jednostki do określonej pracy. Przy tem jednak musimy nie tylko poznać właściwości fizyczne danej jednostki, lecz i dokładnie znać zawód, do którego dobieramy pracowników. Znać zawód—to znaczy wiedzieć, jakie czynności musi normalnie wykonywać pracownik tego zawodu, w jakich warunkach je wykonywa oraz jakie choroby sprowadza u pracownika dany zawód (t. zw. „choroby zawodowe“). Znając dany zawód oraz znając właściwości fizyczne danej jednostki, możemy orzec o jej przydatności. Przydatną do zawodu nazwiemy taką jednostkę, która posiada odpowiednie do danego zawodu właściwości fizyczne. Sprawa przydatności do zawodu z powyższego stanowiska nie jest ani nową, ani też nieuznawaną, niemniej jednak wśród szerszych warstw społecznych jest często lekceważoną, a to sprowadza zawsze przykre rozczarowania. Rozczarowania te nie tylko przytrafiają się przy wykonywaniu czynności zawodowych, lecz i w życiu codziennem. Wyjaśnijmy to bliżej na paru przykładach. Już sam wygląd zewnętrzny danej osoby w zawodach, wymagających stałej styczności z klientelą, stanowi niekiedy o powodzeniu w pracy. Płeć gra dużą rolę. Tak np. prace, wymagające znacz-

nych wysiłków fizycznych, lub zawody, wymagające stykania się pracownika z substancjami trującymi, nie są dla kobiet odpowiednie. Niski wzrost stanowi przeszkodę w pracy telefonistki. Krótkie palce u rąk są przeszkodą w nauce muzyki (np. na fortepianie). Wadliwe stopy utrudniają pracę ekspedjentki i t. d. Przykładów podobnych możnaby mnożyć bez liku. I tembardziej, gdy weźmiemy pod uwagę nie tylko układ kostny, lecz i układy mięśniowy, stawowy, nerwowy, narządy zmysłów, narządy wewnętrzne i t. d. Jakkolwiek rozmaite konstytucje fizyczne lub stany chorobowe niekiedy w znacznym stopniu utrudniają wykonywanie czynności pewnych zawodów, to w innych zawodach nie są one przeszkodą. Nie trzeba chyba dodawać, że utrudnione wykonywanie czynności zawodowych nie tylko obniża wydajność pracy, lecz i sprowadza cierpienie psychiczne u danej jednostki. Warto zwrócić uwagę również i na to, że u danej osoby może być dostrzeżona skłonność do szybkiego ulegania pewnym chorobom zawodowym, zatem kierowanie jej do takich zawodów, które same przez się sprowadzają owe choroby, do których ma skłonność dana jednostka, nie może być dopuszczalnem. Osoba, mająca poświęcić się jakiemuś zawodowi, musi posiadać szczególnie odporne te organa, które napewno zostaną zaatakowane w pracy zawodowej. (Np. niedopuszczalnem jest kierowanie osoby, skłonnej do chorób płucnych, do zawodu szcztokarki lub grzebieniarki). Konieczność badań osób, kierujących się do pracy w jakimkolwiek zawodzie, przez lekarzy, specjalnie obznajmionych z zawodoznawstwem, jest tak widoczna, że władze państwowe opracowały odpowiedni przepis, który już niedługo ma wejść w życie. Uregulowanie powyższego na drodze ustawy dlatego jest pilne, ponieważ z jednej strony chodzi o zapobieżenie marnowaniu się materiału ludzkiego z powodu nieodpowiedniego dla konstytucji fizycznej jednostki wyboru zawodu, z drugiej zaś strony chodzi o względy natury gospodarczej, a mianowicie: olbrzymie sumy, wydawane obecnie na leczenie rzesz pracowniczych, mogłyby być częściowo zaoszczędzone, ponieważ im odporniejszą byłaby każda jednostka, tem rzadziej i później ulegałaby chorobom zawodowym. Zaoszczędzone sumy mogłyby być użyte na podniesienie ogólnego stanu zdrowotnego. Zaznaczyć wypada, że na stan zdrowotny pracowników wpływają w znacznym stopniu warunki higieniczne warsztatu pracy oraz stopień uświadczenia samych pracowników. Oto przykład: w pewnej dużej firmie, zatrudniającej setki pracowników, spostrzeżono, że prawie wszystkie one po pewnym okresie czasu pracy ulegają chorobom płucnym. Pomimo usiłowań kierownictwa, czynionych w celu poprawy istniejących warunków higienicznych, poprawy stanu rzeczy nie udało się osiągnąć między innymi z tego powodu, że przewietrzanie sal wywoływało protesty (obawiały się pracownice zimna i przeciągów). Cienkie, kuse ubrania powodowały u-



stawiczne zaziębienie się pracownic; nie dawały się one namówić na zmienianie zakurzonego obuwia, w którym przychodziły z miasta, na miękkie filcowe pantofle, które miały służyć tylko do pracy. Potrąciłmy tutaj o sprawę warunków pracy, lecz ją pominiemy, ponieważ przekracza ramy artykułu. Wracając do sprawy kwalifikowania do zawodów, dodać musimy, że w Instytucie Psychotechnicznym w końcu ubiegłego roku opracowano książkę p. t. „Zestawienie braków fizycznych i stanów patologicznych w zakresie zawodoznawstwa” (obecnie w druku), która jest przeznaczona dla lekarzy szkolnych i fabrycznych, kierowników warsztatów przemysłowych, inspektorów pracy i t. p. Zawiera ona wykazy zawodów zarówno męskich, jak i żeńskich; oraz szereg wskazówek, jakie konstytucje fizyczne i stany chorobowe są przeszkodą w jakich zawodach, jak również wyszczególnienie, w jakich zawodach i jakie braki cielesne nie stanowią przeszkody w wykonywanych czynnościach. Książka ta niewątpliwie odda znaczne usługi przy kwalifikowaniu osób do rozmaitych rodzajów pracy, jak również na terenie szkolnym umożliwi lekarzowi ostrzeżenie wychowanka przed obieraniem nieodpowiedniego zawodu. Dodajmy na zakończenie, że o odpowiedności danej osoby do określonego zawodu decyduje nie tylko posiadanie przez nią niezbędnych warunków fizycznych, ponieważ sprawne wykonywanie czynności zawodowych wymaga ponadto posiadania przez pracownika określonych, lecz nie jednakowych w różnych zawodach, cech psycho-fizjologicznych i dyspozycji psychicznych; lecz o tej sprawie już mówiliśmy z tego miejsca i nieraz prawdopodobnie do niej będziemy musieli wracać. Chodziło nam narazie o zwrócenie uwagi szerszego ogółu na konieczność zasięgnięcia opinii lekarza - specjalisty w tym przypadku, gdy chcemy własne dziecko skierować do określonego zawodu, lub gdy zmuszeni jesteśmy dobierać pracowników do określonego rodzaju pracy.

Piotr Macewicz,



## JAK UTRZYMAĆ BIELIZNĘ

Od najdawniejszych czasów kobiety specjalnie lubowały się w cienkiej i wykwintej bieliznie. Działanie to doszło do zenitu, a zbytek materiałów przybrania i fasonów nie ma sobie równego w przeszłości. Nawet względnie skromne „kombinacje” potrzebują specjalnego starania przy praniu i umiejętności przy prasowaniu. To też trudno dziwić się, że „nasze sojuszniczki” drą i niszczą niemożliwie te delikatne gałganki, przez ironję chyba zwane bielizną. Wobec nich błędą ze wstydu lub oburzenia resztki wypraw mamusi, albo jeszcze babci, pieczołowicie przechowywane przez córki i wnuczki; nasze napewno nie będą miały kłopotu, bo z pozostałości po nas zaledwie starczy na ubranie dla lalki.

Słusznym jest mniemanie, że bielizna najbardziej niszczy się w praniu; nawet najlepsze, przez tarcie, osłabia tkanki, a cóż dopiero mówić o tym, ogólnie stosowanym przez osoby, nieumiejętnie, lub niedbale traktujące tę ważną pracę. Która z pań nosi bieliznę jedwabną lub batystową, powinna pracować sama, a zyska przez to dużo na jej trwałości.

Prasować najlepiej żelazkiem elektrycznym, naturalnie o ile ktoś je posiada; po złożeniu trzeba podłożyć ażury i mereżki kolorową bibułką, dla uwydatnienia deseni; i ułożyć starannie na wyższej półce szafy bieliznianej.

Półki od szafy powinny być wyłożone białymi serwetkami dwa razy tak szerokimi, a długimi, jak półka, cienkimi, aby nie gniotły świeżo uprasowanej bielizny. Obrębione wokół, z jednej długiej strony — obszywa się koronką, lub haftuje od razu zęby, haftem Richelieu, angielskim, lub kolorowym. Do bielizny jednak zawsze lepiej zastosować któryś z rodzajów haftu białego.

Przygotowaną serwetkę wyciągamy wzdłuż półki i przypinamy w dwóch końcach pluskiewkami, rozpościeramy równo, a następnie nakrywamy zbywającą połową, ułożoną i związaną wstążkami, albo tasiemkami kolorowymi bielizną.

Półki powinny być zawczasu przeznaczone na różne jej gatunki i tak: na dolnej rozmieszczamy, segregując gatunkami, bieliznę pościelową, a więc podpinkę, prześcieradła, poszewki i t. d., powiązane z osobna. Na następnej półce układamy bieliznę stołową, również dobraną i powiązaną tuzinami, wyżej — ręczniki, ściereczki, chusteczki do nosa codzienne i strojne. Na najwyższych półkach, jak już wspomniałam, układamy bieliznę osobistą, niżej — skromniejszą, wyżej — wykwinniejszą, elegancką, a więc opale, batysty, jedwabie. Następną półkę przeznaczamy na bieliznę męską. Jej proste, surowe linje będą stanowiły wybitny kontrast z zalotnością damskich garniturów. Jeżeli zostanie nam jeszcze jedna wolna półka od samej góry w szafie, to ułożymy na niej ma-



tinki i bluzki letnie. W szufladzie w dole szafy umieścimy pończoszki, skarpetki, kołnierzyki i mankiety męskie, każdą rzecz w innym barwnym pudełku, przylepiając na niem kartkę z oznaczeniem zawartości, żeby od razu trafić było można do każdej rzeczy.

Wobec niezliczonych szaf, komod i kufrów naszych prababek, pełnych bielizny, na których pomieszczenie potrzeba było oddzielnych pokoi, jakże skromnie wygląda największa choćby dzisiejsza szafa, mieszcząca dobytek bielizniarzy całej rodziny — a jednak nie przypuszczam, aby straciły nasze cienkie prześcieradła, poszewki, pajęczce kombinacje na porównaniu ze sztywnymi, nabitemi, swojej roboty płótnami ówczesnymi. Dla utrzymania bielizny w porządku ważnym jest, aby była znaczona. Osobistą bieliznę, stołową i pościelową, jeżeli jest wyprawną, znaczą się literami lub monogramami pani domu, męską — literkami drukowanymi pana. Domową i kuchenną — literą nazwiska obojga. Bieliznę, sprawianą po ślubie, znaczą się wspólnymi literami. Prześcieradła na materace, zwyczajne ręczniki, codzienne serwetki znaczymy ponsową bawełną; poszewki, podpinkki, obrusy, serwety, cienkie ręczniki — białą. Na prześcieradłach na materace umieszcza się literki w środku nad obrąbkiem, podpinkki znaczą się w połowie górnego wyłożenia białym monogramem, na 15 cm. nad obrębem; poszewki — w połowie 10 — 20 cm. nad zapięciem, takim samym znakiem. W znaczeniu trzymamy się następującej zasady: ozdobne większe znaki umieszczamy w miejscu bardzo widocznym, ponsowe pojedyncze literki, przeciwnie, kryjemy skromnie. Koszule damskie dzienne i nocne znaczą się na piersiach po lewej stronie, męskie — po prawej, dolne ubrania — na pasku; pończochy — u góry przy obrębie po prawej stronie szwu, skarpetki — tak samo, chustki — w jednym z rogów nad szlakiem.

Bieliznę stołową przeważnie znaczymy monogramami; mniejszemi w jednym z rogów na serwetkach, większemi — w środku obrusa, 25 cm. nad talerzem.

Aby nadać bieliznie zapach miły i stale przez nas używany, trzeba przełożyć ją saszetkami, lub małemi jedwabnymi woreczkami, napełnionemi pachnącym proszkiem. Komu nie żal perfum, których używa, najeleganciej będzie zmoczyć niemi kawałki grubej bibuły i przekładać bieliznę. Mowa tu, naturalnie, o osobistej, bo cechą prawdziwego wykwintu jest używanie do wszystkiego jednego tylko zapachu.

Bieliznę pościelową właściwiej będzie przesycać listkami róży, zapach bowiem, którym ją nasycimy, powinien być nikły: aromaty źle oddziałują na apetyt i nie są tutaj w dobrym guście. Dodam jeszcze słówko o przechowywaniu bielizny na dłuższy czas. Wyjeżdżając na lato, trzeba zostawić w szafie bieliznę, pierwiej uprać zupełnie na miękko, bo od krochmalu pęka na składach, i nakryć ją bardzo zafarbkowa-

wanym galgankiem, żeby nie zżółkła. Nie potrzebuję chyba dodawać, że każde najmniejsze uszkodzenie powinno być zaraz naprawione a urwany lub złamany guziczek — zastąpiony świeżym. Na wewnętrznej stronie drzwi od bielizniarki przypinamy małemi kolorowemi pluskiewkami kartkę brystolową ze spisem zawartej w szafie bielizny, a dając ją do prania, trzeba przygotować 2 kartki: jedną dla praczki, drugą — dla siebie, żeby nie było wymówek w razie zgubienia jakiej sztuki.

J. S.



## KASZE

Wobec stałego nawoływania lekarzy i higienistów do zmniejszenia ilości spożywanego mięsa i innych pokarmów białkowych, — przy niedostatecznej ilości produkowanych u nas jarzyn i sałat, których przez długą zimę na prowincji wcale nabyć nie można, a w stolicach wysoka ich cena robi je niedostępnymi dla szerokich warstw spożywców — specjalną uwagę należy zwrócić na kasze. Idąc po linii najmniejszego oporu, czyli, w tym wypadku, biorąc rzecz, wymagającą najmniejszej fatygi przy przyrządzeniu, jako dodatek, zastępujący jarzynę, używamy przeważnie ryżu. Używamy go tak dużo, że w roku zeszłym spożyliśmy ryżu na sumę nie mniejszą, niż 54.000.000 złotych! tak, wyraźnie: pięćdziesiąt cztery miliony złotych, co w bilansie handlowym jest bardzo poważną cyfrą. Za wytłumaczenie służyć nam może poniekąd ta okoliczność, że ryż ten luskano w naszych luskarniach i że przywiozła go w dużej części młoda, polska flota. Nie równoważy to, jednak tej szkody, którą wyrządzamy przemysłowi krajowemu, nieużytkując w dostatecznej ilości jego wytworów. Jeśli się można spierać o to, czy ryż, nie dalby się czem innem zastąpić, to co się tyczy kasz owsianych, płatków owsianych, kaszy manny, mając te produkty wybornej jakości w kraju — tylko jakiś dziwny snobizm każe nam je sprowadzać z zagranicy. Kasze krajowe orkiszowe, jęczmienne, hreczane i jaglane umiejętnie przyrządzone i urozmaicone różnemi przyprawami — dają ogromną ilość dań kuchni jarskiej, postnej i dietetycznej. Należy tylko umieć znaleźć dla nich odpowiednie zastosowanie i wykorzystać ich właściwości. Kasza jaglana, na przykład, musi przed użyciem być dwu lub trzykrotnie sparzona i starannie odcedzona, poczem zagotowuje się ją raz z wodą.



dodaje do niej sporą ilość masła lub topionej słoniny i dalej dusi wolno (jak kucharki nazywają „pruży“) pod blachą lub nawet na blasze na bardzo wolnym ogniu. Tak przyrządzona jest bardzo smaczna i może być użyta zamiast ryżu do wszelkich potraw, do których tego ryżu używamy, — a zatem do potrawek z kury, z cielęciny, z baraniny, do szaszłyków, do kotletów i t. p. Można też kaszę jaglaną dusić od razu z tłustą baraniną, tak jak na pilaw; otrzymamy wtedy „kus - kus“, potrawę, którą się żywi Algier i Tunis, i którą się zachwycają Europejczycy, jeśli los ich rzuci w tamte strony. Z na sypko ugotowanych jagiei przyrządzać można jarskie kotlety, suflety, budynie, podając je z przeróżnymi sosami. Równie szerokie zastosowanie znajdują wszelkie rodzaje kasz hreczanych, więc gruba, ciemna, obwarzana zwana, średnia łamana, krakowska zwykła i krakowski maczek. Obwarzana, traktowana tak, jak jagły, t. j. po obgotowaniu duszona z tłuszczem, stanowi nie tylko klasyczny dodatek do polskich zrazów, lecz używa się do różnych jarskich pasztetów, do nadziewania naleśników i może być podana, jako oddzielna potrawa, z sosem grzybowym lub śmietanowym. Średnio łamaną — najlepiej użyć na kaszę mocno rozgotowaną i nawet rozklejoną, którą się jada z mlekiem, lub polaną słoniną ze skwarkami. Krakowska grubsza, przetarta z jajkiem — stanowi doskonały dodatek do różnych mięsnych dań, do potrawek z raków i t. p. Najdrobniejszą, „maczek“ daje się przerobić na różne wykwintne leguminy, że tu wspomnę o babce z kaszki zapiekanej, o kaszce przecieranej z kremem z bitej śmietanki i o kaszce z sosem waniliowym. Najbardziej rozpowszechnioną, szczególnie na kresach wschodnich, jest bodaj że kasza jęczmienna we wszelkich jej gatunkach, jako pęczak, perlówka różnej grubości i drobna kasza, sprzedawana nieraz, jako kasza orkiszowa, do której jest do złudzenia podobna w wyglądzie i smaku. Prawdziwa kasza orkiszowa jest wyrabiana z jarej pszenicy, w niektórych miejscowościach kraju orkiszem zwanej. Pęczak, czyli najgrubsza z kasz jęczmiennych, pozostawiła po sobie niemiłe wspomnienie z czasów okupacji niemieckiej i pierwszych lat istnienia Rzeczypospolitej, kiedy, w braku innych produktów, stanowiła nieodzowną część składową tak zwanych „deputatów“. Nie należy nią jednak pogardzać. Jest to ziarno całe, otłuczone z łuski, zawiera więc wszystkie najpożywniejsze części, bezpośrednio pod tą łuską położone, i najwięcej tak cenionych witamin. Ugotowany na gęsto, bądź sam, bądź też z dodatkiem grochu czy fasoli i polany słoniną lub grzybowym sosem — powinien wejść do jadłospisów licznych rodzin, szkół, burs, ludzi ciężko pracujących. Kasza perłowa, szczególnie drobna, opisana już przez Mickiewicza, w „Panu Tadeuszu“, stanowi rzeczywiście najcenniejszą przyprawę rosółów, krupników, rosolników — co jest już

dobrze znane — jako też zup z miętusa, węgorza i t. p., co jest jeszcze, niestety, mniej znane, a bardzo smaczne. Kasza perłowa stanowi klasyczny dodatek do kaczk w potrawce i dróbek gęsi. W dniach postnych można ją podać z sosem grzybowym lub pomidoriowym.

Drobna kasza jęczmienna, bądź ugotowana na sypko, jak jagły, bądź też dobrze rozklejona, jada się z mlekiem, z masłem, z topioną słoniną i jest jedną z najbardziej lekkostrawnych pokarmów, znoszonych przez najsłabsze żołądki. Kleik z kaszy jęczmiennej, narówni z kleikiem owsianym, jest pierwszym pokarmem, spożywanym przez ciężko chorych.

Na Łotwie (dawnych Inflantach polskich) ludność pracująca latem się żywi kaszą jęczmienną, mlekiem, tak zwaną „skaba putra“, rodzajem chłodnika, mającym zwolenników i pomiędzy ludźmi, do wykwintniejszego jadła przyzwyczajonymi. Niestety, znikły zupełnie dawne żytnie, tak zwane zieleńcowe krupy, dające wyborną kaszę, — znikły u nas bo w kaszach, sprowadzanych z Anglii, zawsze zaszczytnie figurują. Pozostaje mi wspomnieć o kaszy i płatkach owsianych. Tak obficie rozdawane ulotki firm amerykańskich zawierają całe szeregi dań, z nich przyrządzonych. Bądźmy raz mądrzy i używajmy tych przepisów, gotując potrawy z kasz krajowego wyrobu.

Pani Elżbieta.



Już wyszła książeczka

p. t.

## „POTRAWY Z RYB“

Sposoby przyrządzania ryb rzecznych, morskich i jezorowych.

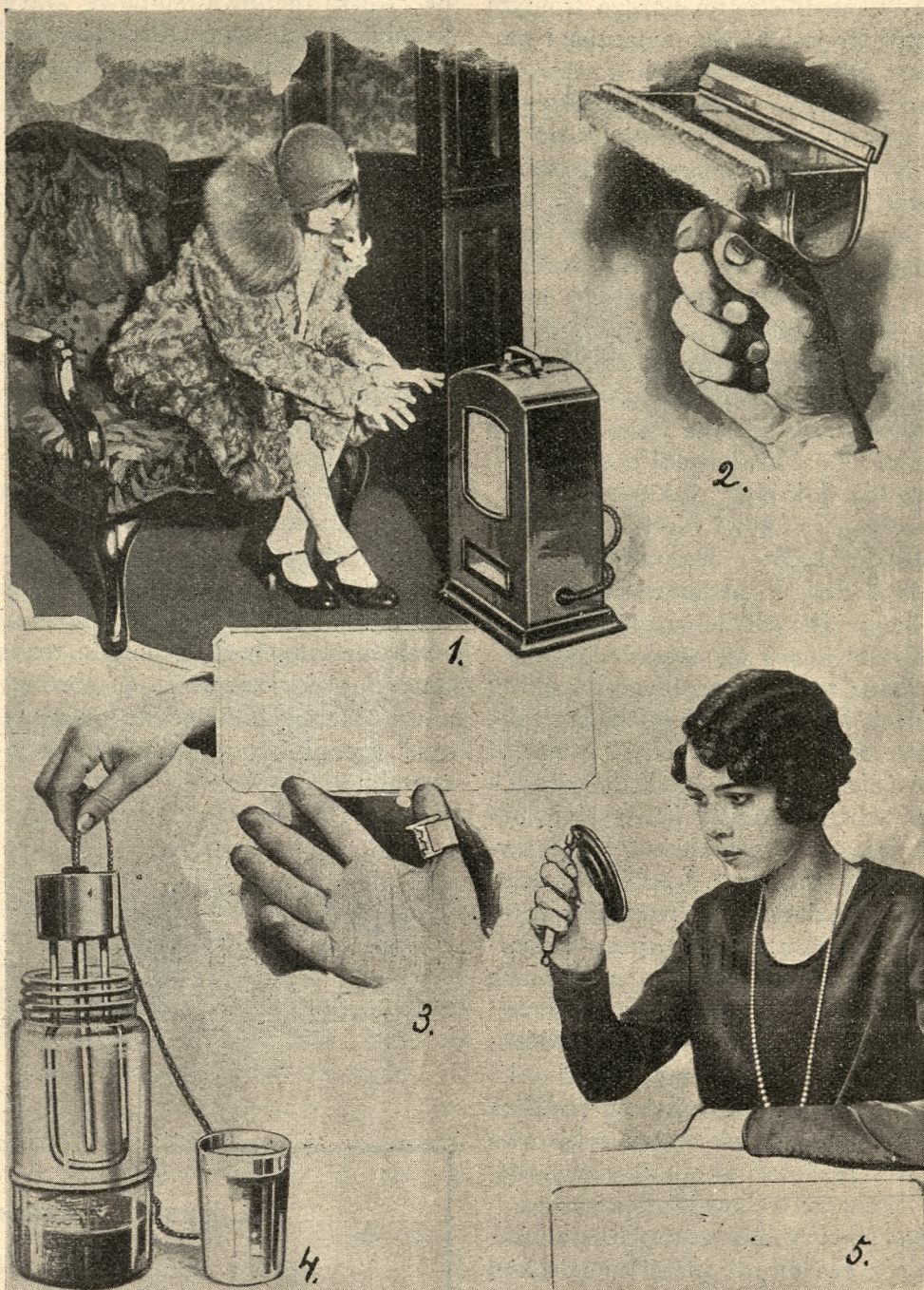
Cena 1 zł. 50 gr.

z przesyłką pocztową 1 zł. 80 gr.

Wysła Administracja — Warszawa, Plac Zamkowy 99,  
po otrzymaniu należności przekazem, lub na konto P.K.O.  
T-wa Wydawniczego „Bluszcz“ Nr. 13.555.



## NOWE UŁATWIENIA W DZIEDZINIE GOSPODARSTWA DOMOWEGO



Do szybkiego ogrzania mieszkania służy przenośny piecyk elektryczny, który wydziela równomierne ciepło i przyjemnie zwilża powietrze. Nie wymaga on żadnego dozoru, a prądu zużywa tyleż, co elektryczne żelazko (rys. 1).

Nowy przyrząd do mycia okien. Mały zbiornik do wody, w kształcie żelazka z rączką u dołu, ma z jednej strony szczotkę do mycia okien, a z drugiej — wycieraczkę, jak to widzimy na rysunku 2-im. Używanie wiadra staje się zbędnym, a przyrząd ten, łącząc w sobie odrazu kilka przyborów gospodarskich, oszczędza wiele czasu.

Ssanie palca u dzieci jest fatalną wadą. Chcąc

odzwyczaić dziecko od tego nałogu, zakładamy mu na paluszek aparacik, wskazany na rysunku 3-im.

Filtrowanie mętnej lub niepewnej wody możemy skutecznie zapomocą elektrycznego aparatu, który jest nieoceniony w podróży. Do naczynia z wodą zanurzamy aparat w kształcie dzwonu nurkowego. Męty spływają na powierzchnię w postaci piany, dającej się łatwo usunąć. Aparat ten włącza się do zwykłego kontaktu elektrycznego (rys. 4).

Praktycznie powiększające lusteczko do badania zbliska niedokładności kosmetycznych — ma rączkę, która służy jednocześnie za podpórkę. Wewnątrz niej znajduje się pincetka i pilnik (rys. 5).

M. R.





## ŁATWE POSTNE SALATKI.

1) Namoczyć na noc piętnaście deka dużej, cukrowej, białej fasoli, ugotować ją zrana, nastawiając w zimnej wodzie. Powinna być zupełnie miękka. Posolić ją dopiero po zupełnym ugotowaniu. Dwa średnie ogórki kwaszone obrać w łupinach, pokrajać w cieniułne plasterki, zmięszać z fasolą, połać obficie dobrą oliwą nicejską i rosółem z ogórków, ułożyć na salaterce. Dwa duże piklingi, mleczaiki, obrać ze skóry i z ości, ułożyć ładnie na fasoli, skropić obficie oliwą, posypać odrobiną białego pieprzu. Salatkę postawić na 6—10 godzin w chłodnym, lecz niemroźnym miejscu.

2) Ugotować pół kilo mączystych kartofli w łupinach, obrać, dopóki gorące, pokrajać jaknajcieniej. Pół kilo wędzonych szprotów obrać ze skóry i ości. Nakoniec wziąć pół kilo najlepszej kwaszonej kapusty i kilka łyżek sosu od tej kapusty. Zmięszać to wszystko razem, posypać łyżeczką od herbaty cukru-pudru, pieprzem białym (na koniec noża), połać obficie najlepszą nicejską oliwą (około pół szklanki) i postawić na godzin 10—12 w chłodnym, lecz niemroźnym miejscu. W ciągu tego czasu kilka razy zmięszać, aby się doskonale zmacero wała.

3) Pół kilo kartofli ugotować w łupinkach, obrać, dopóki gorące, pokrajać w paski, jak makaron. Tak samo pokrajać duży, obrany ze skórki, ogórek, kilka marynowanych grzybków lub kwaszonych rydźów i białka z trzech jaj, na twardo ugotowanych. Dziesięć orzechów włoskich obrać z łupin i utłuc w móżdżerku, lub przepuścić przez maszynkę do migdałów. Trzy pozostałe twarde żółtka utrzeć z łyżką musztardy, łyżką cukru-pudru, łyżeczką soli, utartymi orzechami, trzema łyżkami oliwy z trzema łyżkami śmietany na gęstą masę. Dodać tyle ogórkowego rosółu, aby się dał wymięszać z jarzynami. Ułożyć na salaterce, potrzymać godzin parę przed podaniem w chłodnym, lecz niemroźnym miejscu.

Wszystkie te trzy salaty oprócz tego, że są nadzwyczaj łatwe i prędkie do przygotowania, mają jeszcze tę zaletę, że w skład ich nie wchodzi ocet, co pozwala je jeść osobom, którym ocet jest wzbroniony.

## KOTLETY KARTOFLANE NADZIEWANE.

Kilo kartofli ugotować w łupinkach, obrać, dopóki gorące, przepuścić przez maszynkę wraz ze sporą cebulą, przesmażoną w łyżce masła; posolić, dosypać

około szklanki mąki, wbić dwa jaja całe, wyrobić masę doskonale. Tymczasem ugotować dziesięć deka grzybków suszonych w trzech szklankach wody. Grzybki przepuścić przez maszynkę, przesmażyć z drugą cebulką i masłem, wsypać w nie łyżkę mąki, rozprowadzić nieco smakiem z grzybków, dodać łyżkę śmietany, osolić, popieprzyć, dać zastygnąć zupełnie. Kartoflaną masę rozdzielić na 12—15 równych części. Każdą rozplaszczyc na plaster wielkości spóika od filiżanki; w środek kłaść po łyżce grzybkowej masy, zawijać dokładnie, formować zgrabne kotlety. Gdy wszystko gotowe, utarzać każdy w mące popołowie z tartą bułeczką i usmażyć na maśle lub szmalcu, rumieniąc ładnie z obu stron. Zasmażyć łyżkę mąki z łyżką masła, rozprowadzić osłodzonym smakiem z grzybów, zagotować. Osolić do smaku, odrobinę popieprzyć, lub dodać trochę utartego majeranku. nakoniec włożyć półkwaterek kwaśnej śmietany, zagotować raz tylko i podać w sosjerce do kotletów.

## ŁAZANKI Z GRZYBAMI.

Z pół kilo mąki, dwóch jaj całych, łyżeczki soli i wody zagnieść twarde ciasto, jak na kluseczki krajane; rozwałkować najkrajcieniej, dać przeschnąć, pokrajać, jak drobne leniwe pierogi, wrzucić na osolony wrzątek, gotować pięć minut; odlać na durszlak, przelać zimną wodą, żeby się nie zlepily, włożyć na powrót do rondla wraz z dobrą łyżką masła, przetrząsnąć, aby masło wszędzie przeszło, odstawić na breg blachy. Sześć deka suszonych grzybków ugotować w paru szklankach wody, usiekać drobno. Sporą cebulę zasmażyć z masłem, dodać grzybki, przesmażyć razem, posypać łyżką mąki, rozprowadzić zimnym smakiem z grzybków, zagotować, osolić, popieprzyć, dodać parę łyżek śmietany, raz zagotować, dać nieco przestygnąć. Masa ta powinna być zawieszista, jak dobry sos. Półmisek metalowy wysmarować masłem, wysypać bułeczką. Rzędami kłaść łazanki i grzybową masę. Pierwszy rząd i ostatni powinien być z łazanek. Obsypać grubo tartym ostrym serem, zmięszanym z bułeczką. Położyć na wierzchu parę małych kawałeczków masła i wstawić w piec na kwadrans, uważając, aby się ser ładnie zarumienił i uformował smaczną, chrupiącą skorupkę.

## MUS ŻÓRAWINOWY.

Dwadzieścia deka dobrze przemarzniętych żórawin (tylko takie są słodkie) ugotować z dwiema szklankami wody. Gdy wszystkie popękają, przeceścić i wycisnąć przez muślin (przez sito lub durszlak przechodzą ziarenka); otrzymamy dwie i pół szklanki płynu; należy go raz jeszcze zagotować ze szklanką i ćwierć cukru i kawałeczkiem wanilji. W zimnej wodzie wymoczyć dwa listki czerwonej i sześć listków białej żelatyny, rozpuścić tę żelatynę w żó-



rawinowym syropie. Syrop ten przelać do miski i zacząć wolno ubijać trzepaczką do kremu. Gdy płyn już będzie zaledwie letni, dodać dwa białka i ubijać dalej, trzymając miskę na śniegu lub w zimnej wodzie, aż masa się zapieni, nabierze jasno różowego koloru i zacznie stygnąć na trzepacze, jak majonez. Przełożyć wtedy do kremowej formy, wylanej wodą i wysypanej cukrem, i wynieść na chłód na dwie lub trzy godziny. Przed podaniem wyrzucić na półmisek, ubrać konfiturami i obłożyć lekkimi biszkopcikami.

Pani Elżbieta,

## DOBRE RADY

Kto może kupić odrazu dwie lub trzy pary pończoch, niech dobiera jednakowe. Ponosząc narazie większy wydatek, robi dużą oszczędność, pończochy bowiem nie drą się równo, można zatem, posiadając kilka takich samych par dobierać je ze sobą w miarę zniszczenia.

\* \* \*

Jedynie dobre są ścierki płócienne. Powinny być w trzech gatunkach: cienkie do szklanek, średnie do talerzy i sztucców oraz grube do naczyń kuchennych. Trzeba ich mieć przynajmniej ze trzy tuziny, aby zbytnio nie zacierać i dokładnie wysuszać przed włożeniem do brudów. Ścierki powinny być znaczone krzyżykami na kanwie pierwszą literą nazwiska. Ręczniki, zaczynające się przecierać, po dokładnem wypraniu i wygotowaniu doskonale dadzą się zużytkować do wycierania szklanek.

## KORESPONDENCJE

Pani A. Sz. — *Modliborzyce*. O ile list zawierał prośbę o poradę do P. Dr. Świtalskiej — to odpowiedź była umieszczona z pewnością w jednym z numerów „Kultury Ciała”. Inne działy listu od Sz. Pani nie otrzymały.

Pani A. M. — *Wielonek*. Wzorów serwetek - kwiatów na papierze nie dajemy.

Pani B. D. — *Bursztyn*. Niech Sz. Pani spróbuje zrobić na podstawie jednokolorowego łańcuszka półsłupkami rząd w trzech kolorach; — zmieniając kolor, proszę nie urywać nitki, ale przeciągnąć ją pod spodem do następnego użycia, zahaczając inny kolor o poprzednie oczko. Naturalnie w ten sposób można robić tylko ścięciem ścisłym, aby nitki nie przegładaly, i zmieniać kolory na niedużych przestrzeniach. Nie bardzo długie przeciągnięte nitki wyglądają, jak podbicie, i dodają ciepła kaftanikowi. Robi się zawsze z jednej strony.

Pani A. K. — *Białowieża*. Sezon letni zaczyna się w Krynicy dn. 1.V i trwa do 30.VI; drugi — od 1.VII do 31.VIII, trzeci — od 1.IX do 31.X; zimowy — od 1.XI do 30.IV. Koszt utrzymania zależy od pensjonatu, w jakim się zatrzymamy; wynosi mniej więcej od 10-ciu do 25-ciu zł. dziennie. Wobec dużej frekwencji, w Krynicy pensjonatów przybywa ciągle; — najlepiej jest przyjechawszy, zostawić rzeczy na dworcu, a samej rozejrzeć się i dobrać odpowiedni. Najwygodniejszy dla kuracji letniej jest sezon pierwszy; najgorszy — drugi, jako najdroższy i najliczniejszy. O prospekty niech Sz. Pani napisze do Zarządu Krynicy — do inżyniera Nowotarskiego.

Pani P. P. — *Dzielec*. Dokładny spis skromnej i bogatszej wyprawy podamy wkrótce w „Bluszczu”. Odpowiedź, dotyczącą kosmetyki, znajdzie Sz. Pani w jednym z następnych numerów „Kultury Ciała”.


Pani A. Z. — *Łuniec*. Pas żądany dostanie Sz. Pan w firmie Szober i Szymczyk; Marszałkowska Nr. 72 w Warszawie; kosztuje od 30 do 45 zł.

Pani H. J. — *Kruszwica*. Pantofelki oczyści Sz. Pani brokatką; jest to proszek, którego dostanie Sz. Pani w każdym składzie aptecznym w Warszawie, wraz z przepisem użycia. Odpowiedź na pytanie z dziedziny kosmetyki umieszczona będzie w „Kulturze Ciała”.

**WŁOSÓW** WYPADANIE I ŁUPIEŻ USUWAJA  
ESENCJA I MYDŁO  
CHINOWO-CHMIELOWE (z „KOGUTKIEM”).  
SPRZEDAJĄ APTEKI, SKŁADY APTECZNE  
I PERFUMERJE. — GŁÓWNY SKŁAD:  
APTEKA A.GĄSECKIEGO W WARSZAWIE, FRETA 16.



**HEMOROIDY** CZOPKI HEMOROIDALNE „VARICOL”  
USUWAJĄ BÓL, SWĘDZENIE, PIECZENIE I KRWAWIENIE. ZMNIEJSZAJĄ GUZY (ŻYLAKI). — SPRZEDAJĄ WIĘKSZE APTEKI. — SKŁAD GŁÓWNY — APTEKA A.GĄSECKIEGO, W WARSZAWIE, UL. FRETA 16.  
ORYGINALNE Z MARKĄ FABRYCZNĄ „KOGUT”



## WARUNKI PRENUMERATY

w kraju oraz do Austrii, Czechosłowacji i Węgier: miesięcznie 5 zł. 80 gr., kwartalnie — 17.40, gr., rocznie — 69.60 gr. Do innych krajów miesięcznie — 7.20 gr. Zmiana adresu 50 gr.

Cena numeru w sprzedaży 1 zł. 60 gr.

Cena numeru w prenumeracie 1 zł. 34 gr.

Prenumeratę przyjmuje Administracja „Bluszczu” — Warszawa, Krak.-Przedm. 99. Konto P.K.O. — Warszawa 3700

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”. Sp. z ogr. odp.  
Redaktorki: STEFANJA PODHORSKA-OKOŁÓW (naczelnia) i MARJA PODHORSKA-OKOŁÓW  
Redakcja i Administracja: Warszawa, Krak. Przedm. 99, tel. 239.40. Ekspedycja: ul. Górnośląska 19. Telef. 244-75.  
Druk. Zakł. Graf. Tow. Wyd. „BLUSZCZ” Rymska 8, tel. 244-18.



# Nasza Mównica

## **P. Bronisława Ciosiowa — Regnów — w odpowiedzi Łodziance.**

Z największą przyjemnością odczytuję zawsze „Naszą Mównicę“, gdyż porusza ona sprawy naprawdę żywotne, szukając rad na różne trudne sprawy naszego życia codziennego. Na wezwanie Łodzianki, jako matka, śpieszę podzielić się swemi myślami i spostrzeżeniami w sprawie „przymusowych praktyk religijnych w szkole“.

Wychowując dzieci, od chwili budzenia się umysłu dziecka, zwracam jego myśli ku Bogu, niecąc w młodej duszyczce miłość ku Niemu i Jego wzorowi. Czy po dojściu do samodzielności dziecko zachowa zaszczerpione zadatki? Myślę, że tak.

Miłość, panująca w domu, przykład starszych, których dziecko naśladuje, to największy pedagog moralności młodego umysłu.

Przymusowe narzucanie religji w szkole, jako nauki moralności, to dalszy etap kształtowania charakteru dziecka.

Uważam nawet, że wychowanie, nie oparte na gruncie religijnym, nigdy nie osiągnęłoby pożądanego celu.

Czy jednak dobry jest okólnik Ministerstwa w sprawie praktyk religijnych w szkole?

Po sześciu dniach pracy w szkole, dziecko w siódmym dniu tygodnia mogłoby być powierzone całkowicie pieczy rodziców i pod ich opieką czy to iść do kościoła, czy też, według uznania rodziców, pozostać w domu (mówię o dzieciach w wieku 7 — 14 l.).

Tymczasem za nieusprawiedliwione nieprzybycie dziecka na nabożeństwo, grozi rodzicom kara za niedopełnienie obowiązku szkolnego!

Ileż to czasu dziecko traci, (zwłaszcza w zimie). Aby się nie spóźnić do szkoły, podnosi cały dom na nogi i musi na pół godziny przedtem udać się do budynku szkolnego, gdzie po sprawdzeniu i uporządkowaniu gromady szkolnej, udaje się do kościoła.

To sprawa dzieci i rodziców.

A teraz sprawa nauczycielstwa.

Proszę sobie wyobrazić, że niewiele jest jeszcze szkół powszechnych wieloklasowych.

Prowincja zasiana jest siecią szkół jednoklasowych, w których pracują nauczycielki, pozbawione warunków, nie tylko kulturalnego człowieka, lecz prosto ludzkiego życia.

Znam osobiście młode panienki, rzucone na wieś, gdzie najbliższa poczta leży o 7 do 10 klm., gdzie do

miasteczka, jedyne miejsca zaopatrywania się w najniezbędniejsze artykuły, jest kilkanaście klm.

Pracując cały tydzień w szkole, miała ta nauczycielka jeden dzień — niedzielę, przeznaczoną na załatwienie swych osobistych spraw, tymczasem, dzięki „przymusowym“ praktykom, została przykuta do miejsca, — wprowadzono jej siódmy dzień pracy w tygodniu.

Boć to praca, gdy w niedzielę od rana klasa, jak codziennie, zaczyna się zapełniać hałaśliwą dziatwą, którą trzeba przygotować, zaprowadzić na czas i dozorować je w kościele.

Czy można, pełniąc tak służbę, myśleć o modlitwie i wznieść się myślą ku Stwórcy z podziękowaniem za szczęśliwie przepracowany tydzień?

W dodatku, trzeba nadmienić, że niedziela, to był jedyne dzień na który nie potrzeba było prosić o urlop, a uzyskanie urlopu choćby na dzień jeden nie jest tak łatwe: każdy urzędnik, pracujący w biurze ma jednego szefa, a nauczyciel, pracujący na wsi ma przede wszystkim rodziców, potem Opiekę, Dozór, Władzę kościelną, często gminę i nareszcie inspektora szkolnego!

Dlatego to Związek P. N. S. P., biorąc w obronę przeciążone pracą nauczycielstwo, uchwalił rezolucję o zniesienie *Okólnika w sprawie praktyk religijnych*, nie zaś o „zniesienie praktyk religijnych“, boć tysiąc kilkuset przedstawicieli nauczycielstwa, reprezentujących 38 tys. organizację, uchwaliło wniosek jednogłośnie, a byli tam ludzie i religijni i wierzący, że wychować dziecko zdrowo moralnie można tylko wtedy, kiedy nauczanie i wychowanie oprze się na opoce wiary Chrystusowej.

Pozostaje tylko zagadnienie w jaki sposób rozstrzygnąć poruszoną sprawę sprawiedliwiej, nie krzywdząc nikogo.

## **Warszawianka L.—w odpowiedzi Poleszance.**

Z przyjemnością przeczytałam list Pani, poruszający tak dla wielu osób „drażliwą“ kwestję tytułów, stosowanych do żon wojskowych. Ma Pani rację, wołając: „skończmy z tytułomanją“ między sobą, bo ona szkodzi życiu towarzyskiemu w sferze wojskowej.

Od paru lat należę również do tej sfery i nie mogę się ani rusz przyzwyczaić do ciągłego tytułowa-



nia w sferze bliższych, lub dalszych znajomych. Uważam, że nie powinnyśmy się tytułować wogóle, ponieważ jest to śmieszny i nie liczący z godnością kobiety zabytek z czasów zaborczych, gdy „General-sza“ trzęsła swemi podwładnemi! Dziś skończyło się to bezpowrotnie i wstyd nam przynosi kultywowanie dawnych zamiłowań w tym względzie. Gdy znajdujemy się w towarzystwie mieszanem, wojskowo - cywilnem, padają w nas wciąż pociski tytułów naszych mężów, aż śmiech często bierze, gdy się słyszy co chwila: pani generałowa pozwoli, może p. pułkownikowa rozkaże! Przecież my niczem nie przyczyniliśmy się do tych godności, i zupełnie one na nas nie przechodzą z chwilą wstąpienia w związki małżeńskie z p. generałem, pułkownikiem i t. d. Dlaczego więc tak wiele żon oficerów pozwala się tytułować? Więcej, żąda tych tytułów? I biada nieszczęsnej, lub niewiedzącej o upodobaniach Pani sąsiadki! Narazi się na obrazę, a często staje się wrogiem, aż do chwili głośnego przeproszenia, iż nie wiedziała, jak tytułować!

Powinnyśmy my, logicznie myślące kobiety, zwalczać te przyzwyczajenia jaknajenergiczniej i dążyć do zniesienia tytułów w życiu towarzyskiem. Niech p. generałowa czy pułkownikowa przestanie patrzeć z góry na „małą“ porucznikową, bo często ta ostatnia o wiele wyżej stoi moralnie i umysłowo od żony oficera wyższej szarży. Niech Panie znajdujące się wspólnie na zebraniu społecznem, czy towarzyskiem będą sobie równe, niech nie czują obawy wypowiedziania swych zdań i myśli, lecz śmiało i odważnie bronią swych poglądów, bez względu na to, czy dany temat podoba się p. generałowej. Wolność indywidualna i towarzyska ma wszędzie prawo obywatelstwa — o ile nie wychodzi poza ramy przyzwoitości. — A więc Panie, żony wojskowych, do walki z tytułomanją! Nie ośmieszajmy się same i nie brnijmy w przesadach i parafianśczyźnie. Proponuję plebiscyt za i przeciw tytułom — i jestem pewna, że wszystkie zainteresowane niewiasty dadzą jedną odpowiedź: Dość tytułów!

### **P. Hanka z Małopolski — w odpowiedzi p. E. M z Wilna.**

Jeżeli ktoś lubi zbierać pamiątki i dokumenty, powinien przedewszystkiem starannie wycinać z „Bluszczu“, te kartki na których czernieje napis „Nasza Mównica“. Nie będzie chyba w Polsce drugiego takiego pamiątnika duszy kobiet polskich w okresie odrodzenia państwa polskiego. Skromnie ukryte za inicjałami dwu liter lub pseudonimem, padają radosne słowa otuchy, śmiałe projekty, poważne rady. Czy spełni się za lat dziesięć choć część tych projektów? Czy staną domy kobiet, warsztaty pracy i tyle innych, śmiałych projektów? Zobaczymy. Zostanie jednak dokument myśli naszych, a myśl ludzka nie ginie, prędzej czy później przyoblecze realny kształt i stanie się czynem. Obok tego w listach snuje się czasem ci-

cha, bolesna skarga, tych, którym dane jest dźwigać „ciężkie wory niewidzialnych ziarenek piasku“, jak się wyraziła p. E. M. z Wilna, trudna mowa o tych tysiącach drobiazgów, które na pozór nieznaczące, pętają myśl i duszę gospodyni i matki, przytłaczając ją swym ciężarem i uniemożliwiając wzlot ku słońcu. I nasuwa się pytanie, czy już tak zawsze być musi, czy może można otrząsnąć się z tego? Przecież to są drobiazgi, wobec — wielkich zadań życia.

Niestety, z tych drobiazgów składają się albo wielkie radości, albo wielkie katastrofy, jak z maleńkich cegiełek składa się wielki gmach. Genjalny architekt kreśli plan gmachu, ale pozostałby on tylko marzeniem, gdyby powoli, po cegiełce, nie wznosiły go ręce ludzi z ogromnym nakładem pracy i cierpliwości. Czy odjęta im będzie radość twórcy projektu? Zależać to będzie od punktu widzenia każdego poszczególne robotnika. Jeden niechętnie, dla zarobku ciągnąć będzie taczki, drugi radośnie i lekko wyniesie swój ciężar. Jakże podobnie ma się sprawa nasza. Czy można sobie wyobrazić dom, w którym gospodyni choć na czas krótki zamknęłaby oczy na te drobiazgi? Małe mieszkanko rodziny urzędniczej w przeciągu dwu dni zamieniłoby się w śmietnik, gdzie pobyt osoby o jakich takich wymaganiach estetycznych stałby się męką nie do zniesienia. Czy zdajemy sobie z tego sprawę, że nasz mąż tak nieraz wymagający i niesprawiedliwy w stosunku do nas, wrócił właśnie od ciężkiej pracy na chleb powszedni, pracy nie zawsze spokojnej? Czy mężczyzna może wtedy pomagać w gospodarstwie, pielęgnować dzieci i t. p.? Nie szukajmy przyczyny zbytniego ciężaru obowiązków domowych w mężczyznach, lecz w nas samych, a łatwiej nam będzie poprawić siebie i swoje położenie. Winą naszą jest, że pracę gospodyni i matki traktujemy lekceważąco, że idziemy do niej bez żadnego przygotowania, bez specjalnych studjów i dlatego spełniamy ją źle i niedbale, mimo najszczerszych chęci, dlatego zabiera nam ona tak wiele czasu, dlatego nas tak udrećcza. Kobieta, która ma prowadzić gospodarstwo, i wychowywać dzieci, powinna znać się na tem gospodarstwie, a prócz tego na buchalterji, przeróżnych towarach; szyciu, być higienistką, i pedagogiem, a z tego wszystkiego nie uczono jej nic. Inaczej jest zagranicą. Tam kobiety znają się na gospodarstwie, ich mieszkania świecą czystością i ładem, ich banki gromadzą oszczędności, składane przez rządne gospodynie, ich dzieci są czyste i zdrowe, co nie przeszkadza jednak kobietom zajmować się nauką i zdobywać w szeregach pionierek ruchu kobiecego pierwsze miejsca. Wypływa to z tego, że kobieta na Zachodzie Europy na każdym stanowisku czuje swoją odpowiedzialność społeczną a każdą pracę traktuje poważnie, domowym trudem nie gardząc. Dlatego, jeżeli nas los postawił na stanowisku gospodyni i matki nie wstydzmy się naszej pracy, ale przez odpowiednie studja uzupełnijmy nasze braki. W domu tak, jak na każdym miejscu, pamiętajmy pracując, że cegiełki, które wmurowujemy w gmach całości, wstawiać musimy złote, aby błyszczały Polsce na chwałę a obcym na wzór.



## **P. Zofja Persowska—Byteń n/Szczarą.**

Artykuł p. Jezierskiej w Nr. 5 „Bluszczu” w sprawie odpowiedzialności honorowej kobiet, powinien znaleźć gorące poparcie niewieściego ogółu. Samo bowiem zagadnienie należycie zrozumiane i wprowadzone w czyn — postawi sprawę uzyskanego już równouprawnienia na właściwym miejscu — i to właśnie wobec nieprzekonanej jednakże i niezjednanej dotychczas — mimo przeciwnych pozorów — społeczności męskiej.

Znam np. taki fakt: Pewien pan — obraziwszy dotkliwie swą koleżankę, oczywiście „podwładną” — gdy ta sprawę oddała do rozpatrzenia wyższej władzy — uczuł się bardzo dotknięty, a winę swą wytłumaczył: — „Myślałem, że Pani jest kobietą”. Charakterystyczne określenie — któreby można uzupełnić mniej więcej w ten sposób: „Jest pani kobietą a więc osobą z którą się nikt nie liczy”, którą się obraża, krzywdzi bezkarnie — nie obawiając się odpowiedzialności — bo obrażona o nią się nie upomni — nie jest przecież odpowiedzialna honorowo!

Więc odważnie i śmiało solidaryzujemy się z p. Jezierską. Ja osobiście na pierwsze jej pytanie odpowiadam: tak! bezwzględnie. — Odpowiedzialność honorowa kobiety jest czemś tak koniecznym — według mnie — iż wyklucza zgóry wszelkie sprzeciwy. Myślę, że od tej zasady nie powinny istnieć specjalne wyjątki — oprócz tych — które są stosowane i do mężczyzn.

Co do formy — to poza zasadami honorowymi, istniejącymi w umyśle i sumieniu każdej kulturalnej kobiety, sprawa wymaga poważnego zastanowienia.

Jeżeli pojedyński potępił nawet świat męski, naturalnie, że kwestja ta powinna być przesądzona dla kobiet.

Ideje Ligi Reformy Postępowania honorowego należy przede wszystkim wprowadzić do wychowania młodzieży żeńskiej, popularyzując je przez odpowiednią lekturę, tak szkolną jak i domową.

Wiele dobrego sprawiłby także specjalny tygodnik lub miesięcznik Ligi, pogłębiający owe zagadnienia — oraz podający środki, prowadzące do celu.

## **Róża Machówna — Poznań.**

Przeczytawszy artykuł p. Jezierskiej w Nr. 6 „Bluszczu”, spieszę z odpowiedzią na podaną tam ankietę. Sądzę, że poczucie honoru jest u kobiet już dojrzałe, tylko nie wiemy w jaką szatę ubrać ten nowy dorobek. że należy uznać kobietę jako honorowo odpowiedzialną, w to chyba ani jedna z nas nie wątpi. Trudniej będzie z wyborem formy.

Ja osobiście myślę, że kobiety najwięcej grzeszą brakiem odwagi cywilnej. Rzadko która obrazi i powie oszczerstwo w oczy. Trzeba więc, usłyszawszy taką rzecz, zażądać powtórzenia przy świadkach, a jeśli która powie nieprawdę, żądać przeproszenia

i odwołania obrazu. Jak długo dana osoba tego nie zrobi, niech będzie uważana za niehonorową.

Myślę, że kodeks taki zmusił by kobiety do liczenia się ze słowami i trzymania języka na wodzy.

Podlegać takiemu prawu winny wszystkie kobiety, od lat 20-stu. Pozatem, powinniśmy należeć do Ligi Reformy Postępowania honorowego, zakładać wszędzie jej oddziały i szerzyć tę ideję wśród młodzieży.

## **P. A. M. z Krakowa — w odpowiedzi P. Wandzie z Warki.**

Z wełny owczej, nawet brudnej, strzyżonej, można od razu mieć korzyści. Widziałam w Domu Pracy Sióstr Felicjanek, ul. Piekarska 11, zrobione skarpetki i bieliznę z owczej wełny. W tej chwili detalicznych wiadomości nie mogę napisać, ale jeśli Szanowna Pani sobie życzyć będzie — dowiem się i doniosę. W Tyńcu pod Krakowem robią rękawice z wełny owczej.

Walenty Czyżak, gmina Łyse (wieś), powiat Kolno, ziemia Łomżyńska — wyrabia samodziały, chodniki i t. d.

Proszę listownie się odnieść o informacje.

Kilimy i koce huculskie (śliczne) wyrabiają:

Gurzkowski — Kossów,

Ilko Hibeżuk — Kut, koło Kut,

Jaworów koło Kosowa, wschodnia Małopolska, pracownia koców huculskich, 1 m. od 38 — 45 zł. z ich wełną.

Paraska Skriblak, Biłęńka w Jaworowie, koło Kut, Wschodnia Małopolska. Można posłać tam wełnę surową, sami czyszczą i barwią. Wyrabiają wzory pianskowe, etnograficzne, huculskie — cena za m.<sup>2</sup> z foluszem 9 zł. Kilimy mogą być do 4 m. długie — a 2 m. szerokie. Do tej Paraski Skriblak radzę napisać najpierw — niech poda swoje warunki, jeśli Pani wogóle na kilimy reflektuje. Jeśli zaś o materje chce Pani pytać, mogę się dowiedzieć w Bielsku lub Kętach u nas w Małopolsce.

Proszę o bliższe informacje.

Służę chętnie Pani Szanownej pomocą.

## **P. A. H. P. — Katowice.**

Jako korespondentka z Katowic, pragnęłabym zabrać głos w „Mównicy” w sprawie ustawy śląskiej z dnia 29 marca 1926 r., której mocą nauczycielka-matka traci posadę.

Pomijając już, że tego rodzaju prawo sprzeciwia się zasadom naszej Konstytucji, że przy obsadzeniu posad powinny rozstrzygać kwalifikacje zawodowe, a nie płeć, lub stan pracownika — usuwanie mężatek z zajmowanych posad jest szkodliwe z punktu widzenia szczęścia rodziny i dobra opierającego się na niej narodu.



U nas więcej, niż gdziekolwiek, rozpowszechniona jest praca zarobkowa kobiet i to zarówno w sferach niższych, jak wśród inteligencji. Pracować musi kobieta niezamężna, pracować musi wdowa i porzuciona przez męża rozwódka, i to nie tylko na utrzymanie siebie, ale często i dzieci. Musi dzisiaj przewartościować i kobieta zamężna, jeśli chce się utrzymać na poziomie życia kulturalnego, a nie zejść do roli „służącej do wszystkiego”. Mieć zaś służbę i kierować nią tylko, resztę czasu poświęcając mężowi, wreszcie swym zainteresowaniom intelektualnym, czy społecznym — jest, co prawda, dobrem rozwiązaniem kwestji, ale w naszych warunkach rzadko możliwym. Nie chcąc być ciężarem dla męża, musi być kobieta nieraz i matką, i gospodynią, i pracownikiem w jednej osobie, i nie jest to jej przywilejem, lecz ciężkiem zmaganiem się z warunkami życia. Doświadczenie uczy nas, że praca kobiet poza domem nie przeszkadza im bynajmniej w spełnianiu obowiązków żon i matek; przeciwnie, szersze horyzonty myślowe działają raczej dodatnio. Nie z wykształconych i pracujących zarobkowo mężatek rekrutują się owe tłumy niewiast, zapelniające kawiarnie, kina i dancingi. Te na pracę i kształcenie umysłu poprostu czasu nie mają.

Małżeństwo w dzisiejszych czasach winno być przede wszystkim instytucją współdzielczą, w której mąż i żona oboje pracują nad dobrobytem ogniska domowego, stając odważnie do walki z ciężkimi warunkami życia. Ta wspólność interesów, ten, że się tak wyrażę, „komunizm“ pracy, złączy ich silniej ze sobą.

Wiedzę dla wiedzy zdobywają nieliczne tylko jednostki, zarówno wśród kobiet, jak i mężczyzn. Dla większości wykształcenie jest jednocześnie środkiem zdobycia chleba i stanowiska społecznego. Dla czego kobiety, wychodząc zamaż, mają tracić to, co zdobyły kosztem wielu trudów, a nieraz nawet w alki i poświęcenia?

Dzięki wyższym studjom i pewnemu usamodzielnieniu się w życiu, nastąpiło w kobiecie współczesnej pogłębienie zarówno swego „ja“, jak i jej stosunku do otoczenia. Praca nazewnątrz, poza domem, na terenie publicznym, stała się dziś już potrzebą wewnętrzną wielu z nich i nie należy myśleć, że owe szeregi kobiet pracujących — zamężnych, lub nie — to tylko ofiary złych stosunków ekonomicznych i że, ze zmianą ich na lepsze, szeregi te znikną. Kobieta zdobyła sobie prawo do tej pracy i nie wyrzeknie się go za nic, widząc w niem niezbędny warunek swego dalszego rozwoju psychicznego.

Powracając do kwestji szkolnictwa, nie ulega najmniejszej wątpliwości, że kobiety, jako siły nauczycielskie w szkolnictwie powszechnem, czy też średniem, jeżeli nie przewyższają, to w żadnym razie nie ustępują siłom męskim; praca zaś pedagogiczna nauczycielek mężatek i matek jest czynnikiem wysoce wartościowym, działającym korzystnie w kierunku wychowania i ogłady młodzieży.

Wprowadzenie w życie krzywdzącej ustawy o niezatrudnianiu mężatek uniemożliwia, wskutek czę-

sto powtarzających się wypowiedzeń, ciągłość pracy pedagogicznej i czyni poważny wyłom w szkolnictwie śląskim, usuwając z niego jednostki nieraz wybitnie zdolne i wartościowe, tkórych jedyną winą jest to, że zostały mężatkami. Przymusowy zaś celibat nauczycielek przyczyni się niechybnie do wytworzenia jednostek wykołejonych i rozgoryczonych, co będzie momentem, wysoce obniżającym wartość i wydajność pracy na niwie pedagogicznej.

Przykład innych krajów wskazuje nam dobitnie, jak takie, ograniczające swobodę stanu cywilnego ustawy są szkodliwe. We Francji np. istnieje regulamin, przepisujący kobietom, urzędniczkom państwowym długie i żmudne formalności przy zawieraniu małżeństwa — zwracanie się do władzy zwierzchniej o pozwolenie, zakaz poślubienia urzędników policji oraz niektórych innych wydziałów administracyjnych i t. p. Jest to ustawa z przed lat kilkadziesiątu, gdy kobiet pracowniczek była znikoma ilość. I oto teraz wszystkie zrzeszenia kobiece walczą o zniesienie tego przeżytku, a rząd francuski, wcale dla praw kobiet życzliwie nie usposobiony, przychyła się chętnie do reformy zastarzałego przepisu, gdyż — co się okazało — oto urzędniczki wychodzą zamaż bez pozwolenia władzy i figurują w biurach jako niezamężne. (We Francji jest to możliwe, wobec innych niż u nas przepisów paszportowo-meldunkowych). Wobec tego nie mogą już jednak korzystać z żadnych dodatków dla rodzin, co wpływa fatalnie na ich byt i wzmaga depopulację. Oto do czego prowadzi tylko niezreformowanie odstających od życia przepisów — u nas wprowadzono je wbrew wszelkim socjologicznym i praktycznym zasadom.

Pragnęłabym bardzo, aby w tej sprawie wypowiedziały się w „Mównicy“ inne panie, zarówno ze które nie znają tego, krzywdzącego ograniczenia. Śląska, jak i z tych, szczęśliwszych dzielnic Polski,

**P. Jerzy Benek — p. Zabrzeg, Śląsk Cieszy.**

Pomimo, że do „Mównicy“ pisują tylko panie, jednak zdecydowałem się przedstawić właśnie paniom swoją prośbę. Proszę uprzejmie, czy mógłbym otrzymać książki stare, tanie, lub roczniki pism, albo albumy, byle ilustrowane. W Warszawie będą może zbywające, choćby więcej zniszczone, ale całość książki, lub ilustracje.

**P. Wandę T. z Warki**

prosimy uprzejmie o podanie dokładnego adresu.

Redakcja.